

Spirytyzm

kwartalnik
Polskiego Towarzystwa
Studiów Spirytystycznych
numer 2 (10) / 2012



Spis treści

Redakcja

Redaktor naczelny:
Marcin Stachelski

Oprawa graficzna:
Konrad Jerzak vel Dobosz

Współpracownicy:
Rafał Wiszowaty, Piotr
Struczyk L.F., Nelson Bartsch,
Wojciech Chudziński, Piotr
Kostórkiewicz, Tomasz
Grabarczyk, Krzysztof Strzelecki

ISSN: 2081-7436

Kontakt:
redakcja@spirytyzm.pl

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza RIVAIL
Konrad Jerzak vel Dobosz
ul. Wałbrzyska 11/85
02-739 Warszawa
NIP: 1251143849
REGON: 142085845
www.rivail.pl
© Oficyna Wydawnicza RIVAIL

Wstęp	2
Wykłady spirytystyczne	
Przemiana planetarna cz.2	4
Okiem spirytysty	
Objawienie	19
Nauka	
Zjawiska materializacji Schrencka- -Notzinga	27
Automatyczne pismo i rysunek (in- strukcje i wskazówki)	42
Religia i filozofia	
Medytacja	47
Najpiękniejsze modlitwy świata	51
Historia spirytyzmu	
Pokłosie z autobiografii pani Champion de Crespigny	53
William T. Stead	68
Przekazy	
Błękitna Wyspa (fragmenty)	75
Chleba naszego (fragmenty)	78
O żalu za umarłymi	81
Wywiady	
Uwierz w ducha, bo nim jesteś	85



Wstęp

Marcin Stachelski

Drodzy Czytelnicy!

Najnowszy numer poświęcamy postaci Williama Thomasa Steada, angielskiego dziennikarza, medium i spirytysty, który zginął w katastrofie Titanica. W kwietniu przypadła setna rocznica tego wydarzenia i dla upamiętnienia postaci Steada Oficyna Wydawnicza Rivail wydała dwie jego książki: *Listy z zaświatów* oraz *Błękitną Wyspę*. *Listy z zaświatów* są zapisem dialogu między Steadem a jego zmarłą przyjaciółką Julią Ames. Z kolei *Błękitna Wyspa* zawiera opis rzeczywistości zaświatowej, szczególnie interesujący, jeśli zestawić go z podobnymi przekazami od ducha André Luiza, zawartymi w książce *Nasz Dom*. W kwartalniku znalazły się fragmenty dzieł autorstwa Steada a także artykuł biograficzny poświęcony angielskiemu spirytyście.

Wśród pozostałych tekstów na uwagę zasługuje artykuł Prospera Szmurło poruszający problem rozwoju zdolności medialnych w zakresie pisma automatycznego. Stanowi bez wątpienia interesujące uzupełnienie dla *Księgi mediów* Allana Kardeca. Warto, aby zapoznały się z nim osoby zgłębiające spirytyzm doświadczalny, gdyż autor zawarł tam wiele cennych wskazówek, które ułatwiają codzienną pracę nad rozwojem zdolności medialnych.

W dziale poświęconym badaniom naukowym znalazł się także tekst o eksperymentach niemieckiego badacza Alberta von Schrenck-Notzinga nad ektoplazmą, czyli zagadkową substancją, którą organizm medium miał wydzielać podczas seansów materializacyjnych.

W najnowszym numerze zamieściliśmy również wypowiedzi mediów spirytystycznych: wywiad z psychoterapeutką Marilyn Rossner oraz drugą część seminarium Divaldo Franco na temat domniemanego końca świata (pierwsza ukazała się w poprzednim kwartalniku).

Warto wspomnieć, że w końcu ujrzało światło dzienne nasze wydanie *Księgi Duchów* Allana Kardeca. Można je nabyć na stronie internetowej Oficyny Wydawniczej Rivail oraz w zaprzyjaźnionych księgarniach.

Miłej Lektury!



Przemiana planetarna cz.2

Divaldo Franco

Druga część seminarium Divaldo Franco wygłoszonego na 28. Kongresie Spirytystycznym w stanie Goiás

W rozdziale 24 Ewangelii według św. Mateusza odnajdujemy znaną przepowiednię Jezusa na temat wspaniałej świątyni Heroda wzniesionej w oparciu o plan świątyni Salomona, która miała zostać całkowicie zniszczona. „Nie zostanie tu kamień na kamieniu”¹. Ostały się po niej jedynie fundamenty na wzgórzu Moria², na którym wzniesiona była budowla. Jakież przeczucie przyszłości on miał.

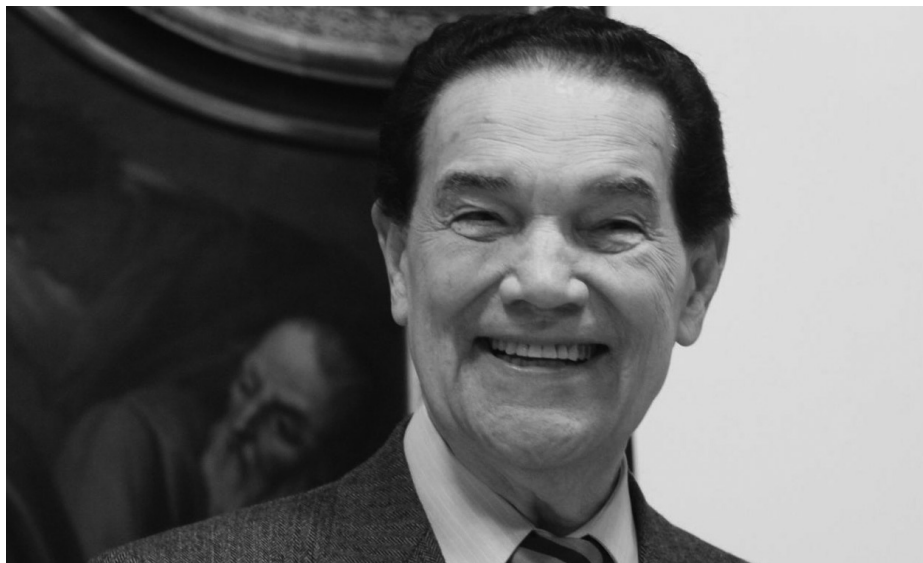
Kiedy będziecie słyszeć o wojnach, to jeszcze nie koniec – to dopiero początek³. Zawsze do nich dochodziło ze względu na postępowanie ludzi, a na przestrzeni dziejów widzieliśmy też fałszywych proroków. Pośród nich byli także ci z zaświatów, o których wspomina Allan Kardec. Przybywali przekazywać wiadomości w imię Boga, zajmowali wysokie stanowiska, ale nie pozwólmy się im oszukiwać.

Naród powstanie przeciw narodowi, a królestwo przeciw królestwu, będzie dochodzić w wielu miejscach do trzęsień ziemi, zapanuje głód, ale te wszystkie wydarzenia stanowią wyłącznie zaczątek cierpienia. Dopiero co miała miejsce wielka tragedia w Afryce, gdzie głód może zabić 3 miliony osób z powodu nienawiści panującej między dwoma plemionami, z których jedno nie pozwala, by żywność dotarła do drugiego, choć przecież mieszkają w jednym kraju.

¹ Mt 24, 2

² dziś znanym jako Wzgórze Świątynne

³ patrz Mt 24, 6



Widzimy zatem, jak Nauczyciel przewidywał przeszłość. Brat wyda na śmierć brata, a ojciec syna. Dzieci wystąpią przeciw rodzicom i wydadzą ich na śmierć. Będą was wszystkich nienawidzić ze względu na moje imię, ale ten, kto dotrwa do końca, będzie zbawiony.

W czasach nazizmu bracia wydawali braci, którzy nie należeli do partii, rodzice donosili na dzieci, a te na rodziców. Ta tragedia poszła tak daleko, że wielu rodziców wysyłało do obozów koncentracyjnych własne dzieci na śmierć i traktowało je jak gorszych ludzi, gdyż cierpiały na nerwicę i moczyły się w nocy. Tylko dlatego że miały dolegliwości natury psychologicznej, uznawano to za syndrom rasowej niższości. Postępowanie nazistów, którymi kierował Himmler, było tak paradoksalne, że człowiek ten, ziejący nienawiścią wobec jakiegokolwiek niedoskonałości, sam był krótkowidzem i swoje wewnętrzne problemy przenosił na innych.

Każdy człowiek, który staje się katem, nosi w sobie jakiś straszny problem, a każdy agresor jest tchórzem, napadającym drugiego człowieka w obawie, że ten zaatakuje jego samego. Nie bójmy się więc agresywnych tchórzów. Gdy przeciwstawiamy im nasze wartości moralne, oni się wycofują, a gdy wejdziemy na pole walki, przegrywamy, ponieważ oni nie mają charakteru. Dokładnie to dzieje się na świecie tam, gdzie triumfuje kłamstwo.

Jezus odnosi się więc do tych, którzy są mu wierni i przez to nienawidzeni. Wiele razy zauważyłem, że ludzie, którzy chcą pozwolić sobie na jakieś moralne ustępstwa bez żadnego słowa krytyki, nawet w naszym ruchu spirytystycznym, mówią, że jesteśmy surowi i poważni w wykonywaniu naszych obowiązków. Nazywają nas ludźmi ortodoksyjnymi, nienawidzą, że jesteśmy wierni Jezusowi, ponieważ oni chcą cieszyć się przyjemnościami.

Pamiętam jeszcze, jak Chico Xavier opowiedział przed moim wykładem w klubie z Uberaby, że pewna grupa osób udała się do niego po emisji programu Pinga Fogo⁴. Byli to spirytyści, którzy powiedzieli mu:

– Chico, zobaczysz, że upadniesz!

Cóż za ostre słowa! A on odpowiedział na nie spokojnie:

– Nie upadnę.

– Upadniesz! Stałeś się bardzo zadufany w sobie po programie.

A to zwykła projekcja. Ci zadufani w sobie ludzie przypisywali swoje problemy niewinnej osobie. Na to Chico odpowiedział:

– Ale ja nie upadnę.

– Dlaczego? Zobacz, jak jesteś dumny! Czemu nie upadniesz?

– Bo nigdy nie wstałem. Zawsze leżałem.

Tymczasem oni ochoczo stwierdzili:

– Przyszliśmy tutaj uratować dzieło Emmanuela⁵, do którego utraty ty doprowadzasz.

Oni nieśli ratunek, jak gdyby dzieło dobra nas potrzebowało.

Spirytyzm i dobro nie potrzebują obrońców. Filozofia, która potrzebuje omylnych obrońców, przemijających i ludzkich, nie ma wartości, ponieważ umiera razem z nimi. Spirytyzm pojawił się, aby trwać dzięki swoim strukturom, które opierają się atakom zła i współgrają z postępem ludzkości. Jego obrońcy powinni stać się raczej ludźmi, którzy go wypełniają, żyją jego filozofią, gdyż jest to najlepszy sposób na jej obronę. I niech przestaną się przejmować, że napotkają problemy.

⁴ Chico Xavier wystąpił dwukrotnie w programie Pinga Fogo w 1971 r. Program z jego udziałem cieszył się ogromną popularnością i przyczynił się do rozpowszechnienia idei spirytyzmu w całej Brazylii.

⁵ Duchowy przewodnik Chico Xaviera, który napisał za pośrednictwem medium liczne powieści historyczne i książki o tematyce ewangelicznej

Ale Jezus powiedział: „Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia. Lecz kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony”⁶. Tak łatwo jest trwać przy nowych przekonaniach. Odczuwamy tyle entuzjazmu. Kiedy stałem się spirytystą, byłem tak entuzjastycznie nastawiony, zwłaszcza jeśli chodzi o miłosierdzie: dawanie w taki sposób, by lewa ręka nie wiedziała co czyni prawa. Nakładałem dłonie, by stosować fluidoterapię, co oznaczało dla mnie przekazywanie mojej energii. Już przyjmowałem odpowiednią pozycję, gdy ktoś mówił:

– Zaczekaj. U tej osoby już zastosowaliśmy fluidoterapię.

Po pewnym czasie nadeszło umiarkowanie, równowaga... Minęło 65 lat i mam nadzieję dotrwać do końca.

Ten będzie zbawiony, kto zachowa pokój i będzie żyć w zgodzie z tym, co głosi. Nikt nie jest w stanie utrzymać kłamstwa przez tyle lat. Człowiek musi przesiąknąć swoją prawdą, żeby znieść deszcze i burze, wichry i suszę, mróz i porzucenie.

Nasz wspaniały przyjaciel mówi dalej: „Gdy więc ujrzycie ohydę spustoszenia, o której mówi prorok Daniel, zalegającą miejsce święte – kto czyta, niech rozumie – wtedy ci, którzy będą w Judei, niech uciekają w góry! Kto będzie na dachu, niech nie schodzi, by zabrać rzeczy z domu. A kto będzie na polu, niech nie wraca, żeby wziąć swój płaszcz. Biada zaś brzemiennym i karmiącym w owe dni!”⁷ Coś nadzwyczajnego, moi bracia! Dziś widzimy właśnie ohydę spustoszenia zalegającą miejsce święte, która przyjmuje postać pedofilii. Gdzie odbiła się największym echem? W ośrodkach religijnych. Kim są przestępcy, o których wspominała prasa? Tymi, którzy powinni pracować na rzecz dzieci, a nie je wykorzystywać. To oni głoszą w swoich kazaniach: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”, a sami nadużywają ich naiwności, by zaspokoić zmysły poprzez popełnienie ohydnych czynów. Maltretowane dziecko stanie się bandytą, twierdzi psychologia. Dziecko wykorzystywane seksualnie zatraci sens życia, na zawsze pozostanie w jego duszy ślad, który przeniesie się na inne wcielenia pod postacią problemów z seksualnością. Pedofil jest zatem jednym z największych przestępców, ponieważ jego działanie jest do najwyższego stopnia patologiczne. To ciężka choroba, która wy-

⁶ Mt 10, 22-

⁷ Mt 24, 15-19

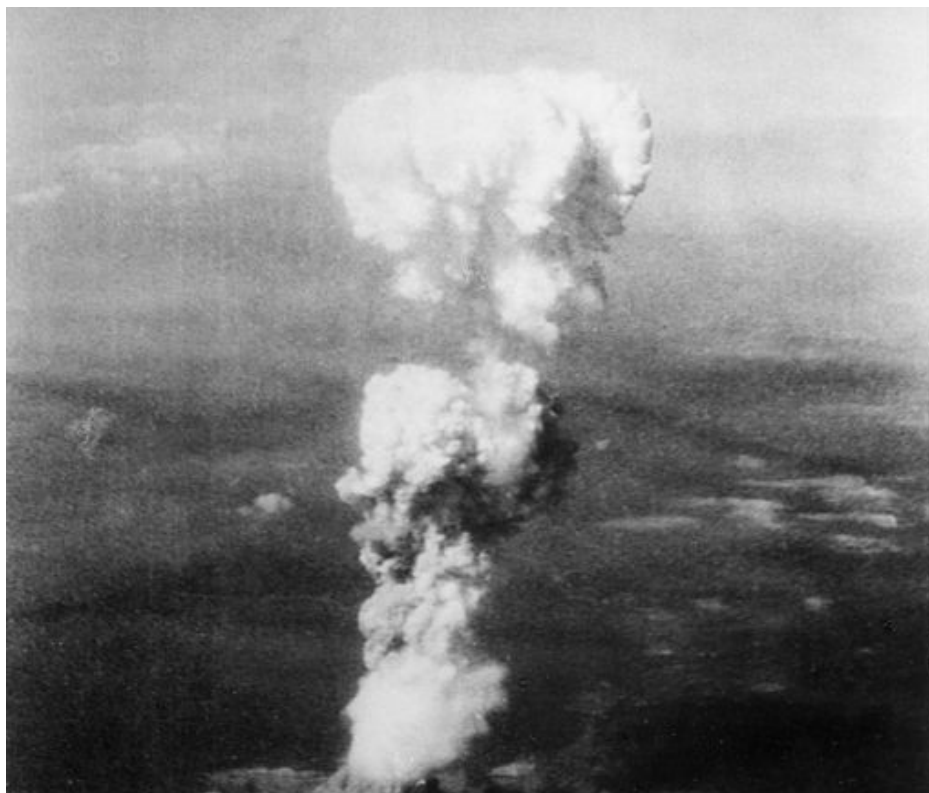
maga odpowiedniego leczenia. Trzeba też taką osobę odizolować, żeby uniemożliwić jej popełnianie jeszcze gorszych czynów. Więzienie nie powinno karać, a reedukować, ale także ma za zadanie nie pozwalać danej jednostce na kolejne błędy i zagrożenie społeczeństwu.

Jezus stwierdza zatem, że gdy ujrzymy te rzeczy, oznacza to, że nadeszły straszne dni. Codziennie prasa wyjawia nam nowe fakty na temat wykorzystywania dzieci, tragedię tych prymitywnych dusz pozbawionych uczuć, które występują przeciw dziecięcej czystości, o jaką przecież należy dbać z czułością i z myślą o przyszłości.

Jezus po chwili mówi, że jeśli ktoś będzie wówczas w Judei niech ucieka w góry, kto będzie na dachu, nie zdąży zaś zejść, a kto będzie w domu, nie zdąży zabrać swoich rzeczy... Wydaje się to tak absurdatne, ale nie jest.

6 sierpnia w Hiroszimie, mieście przyzwyczajonym do przelotów bombowców B29 kierujących się w stronę Tokio, nagle o 8.15 rano, w godzinach szczytu ludzie dostrzegli grzyb: straszny grzyb ze światłem dzie sięć razy mocniejszym niż słońce, które oślepiło 90 tysięcy osób. Chwilę potem ogromny huk przebija błonę bębenną 100 tysięcy osób i w ciągu jednej setnej sekundy grzyb przesłaniający słońce wytwarza ciemność, która nigdy wcześniej nie istniała na Ziemi. Dane te znalazłem w wydanej w 1960 r. książce *Apokalipsa atomu*.

W tym strasznym mroku ludzie nie wiedzieli, co się stało. Nadszedł wówczas upał o temperaturze 10 000 stopni. Eksplozja doprowadziła do roztopienia się domów, metali. Nadciągają wówczas wiatry: północno-południowy, południowo-wschodni, wschodnio zachodni, zachodnio-wschodni, które niosą ze sobą pojazdy i gruz. Ludzie uciekają, a wiatr rzuca ich o ściany z taką siłą, że mieszają się z kawałkami kamienia, na których pozostaje tłuszcz ciała. Wiatry wyrrywają ludzkie trzewia, płuca, a trup ściele się gęsto. Ludzie uciekają i rozpuszczają się. W ciągu dwóch minut ginie 180 tysięcy osób. Grzyb powoli znika i zaczyna padać (przez Hiroszimę przepływa rzeka Ota, która ma siedem dopływów). Woda zaczęła się gotować i zmieniała się w parę, a potem zaczęło padać. Ci, którzy przeżyli, cieszą się, ale nie jest to zwykły deszcz: to Stront-90, radioaktywna substancja, która wywołuje białaczkę. Biada kobietom brzemiennym, gdyż zatrują się tą substancją, a ich dzieci narodziły się chore na białacz-



kę. Biada tym, które karmiły w tamtych dniach, ponieważ ich mleko było napromieniowane i zabijało dzieci.

To niesamowite, bo huk słyszano 30 km dalej, a wiatr zniszczył budynki 20 km od epicentrum wybuchu. W całym mieście pozostało jedynie pół ściany, cała reszta została zniszczona. Ale nie wystarczyło to, żeby zmniejszyć furię cesarza, który uznawał siebie za boga Imperium Wschodzącego Słońca. Trzy dni później, 9 sierpnia, kolejny samolot leci w stronę pewnego miasta⁸, ale to jest pokryte chmurami, a więc promieniowanie nuklearne byłoby niewielkie. Pewien młody człowiek otwiera więc pudło i losuje jedno z dziesięciu miast. Wypada na Nagasaki. Samolot kieruje się więc tam i o jedenastej spada na to miasto druga bomba atomowa. Świat poddaje się wobec nuklearnej tragedii.

⁸ Chodzi o miasto Kokura.

Owe bomby atomowe były jednak niczym niegroźne petardy: dziś w arsenałach wojskowych znajdują się pociski wyposażone w bomby mogące zniszczyć całą Ziemię i rozbić ją na tysiące kawałków. Człowiek myśli, że jest bogiem i gromadzi środki do zabijania, a nie do przedłużania życia. Jest jednak czymś naturalnym, że wyjdziemy z tych agonalnych konwulsji wojny i ruszymy w kierunku pokoju.

Jezus mówi dalej: „A módlcie się, żeby ucieczka wasza nie wypadła w zimie albo w szabat. Będzie bowiem wówczas wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata aż dotąd i nigdy nie będzie”⁹. Mieliśmy więc to wydarzenie, ale nie nastąpi ono już nigdy więcej.

Zapowiadana trzecia wojna światowa nigdy się nie wydarzy, ponieważ nie będzie w niej zwycięzców. Zwycięzcy padną po przegranych, ponieważ wiatry rozniosą promieniowanie nuklearne wszędzie, także na tych, którzy rozpoczęli wojnę.

Jezus przewiduje więc, że jeśli Pan Bóg nie skróci tych dni, nikt nie ocaleje. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdybyśmy dalej zrzucali na siebie bomby atomowe!

Pamiętam, jak przeczytałem w czasopiśmie „Reader’s Digest” wywiad z Oppenheimerem i Albertem Einsteinem, autorami projektu Manhattan, gdzie spytano się ich, czy spodziewali się tragedii tego rodzaju.

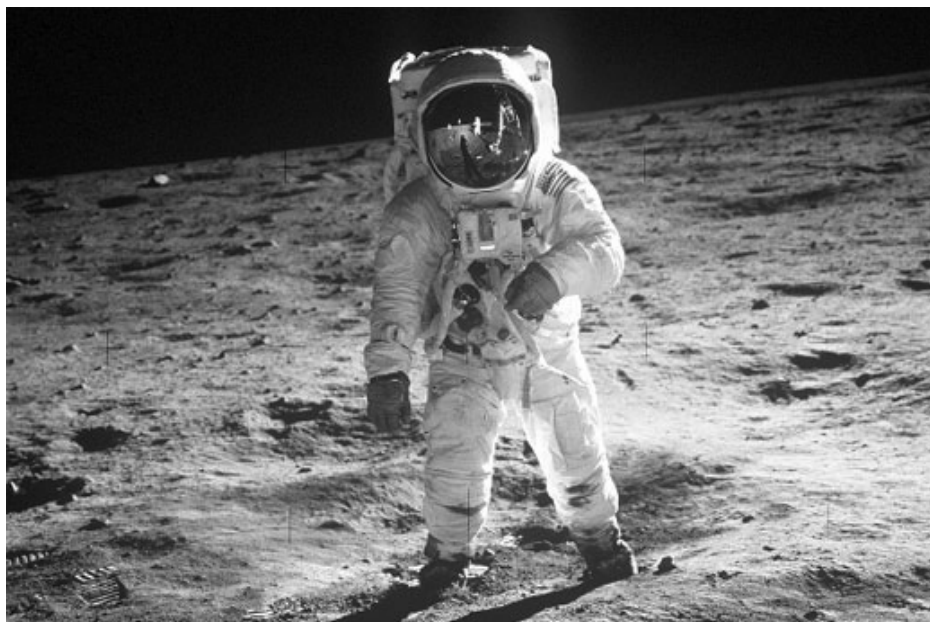
– Czy wiedziałeś, jaki rezultat wywoła bomba?

A Einstein odpowiedział osobie przeprowadzającej wywiad, Pearl S. Buck, która była ambasadorem USA w Chinach i napisała wiele godnych zapamiętania dzieł:

– Nie wiedziałem. Wolałbym być strażakiem czy hydraulikiem niż pracować nad matematycznym opracowaniem bomby.

Ale jako że Einstein nie był najlepszym matematykiem, obliczeń dokonał włoski inżynier matematyk Enrico Fermi. Dziś jednak wciąż śledzimy wiadomości z Iranu, który pracuje podobno, jak powiada się na zachodzie, nad stworzeniem swojej broni nuklearnej. Iran zaś twierdzi, że działa na rzecz postępu. Choć jesteśmy związani z religiami, wciąż jeszcze nie wierzymy w Boga. Pragniemy w naszych złudzeniach doprowadzić do hekatomb.

⁹ Mt 24, 20-22



Pamiętam, że w czasach zimnej wojny istniał czerwony telefon między Moskwą a Waszyngtonem, za pośrednictwem którego miały być wyjaśniane wszelkie wątpliwości, aby uniknąć wybuchu wojny atomowej. Myślano o tym, by umieścić pociski w kosmosie, ponieważ zwycięzca wojny miał być ten, kto pierwszy naciśnie przycisk.

Pewnego dnia rozmawialiśmy z Chico Xavierem o tych problemach, na co on odpowiedział:

– Drogie dziecko, w tamtym momencie Jezus zgromadził swoich ministrów i dostrzegłszy ogromne zacierzwienie z obu stron, zainspirował naukowców do wyścigu na Księżyc. Oczywiście ludzie pragnęli wykorzystać to miejsce w celach strategicznych w czasie wojny, ale dopóki próbowano je zdobyć, zmienił się cel działania. Przestała być nim wojna, a zaczął być ów wyścig, który trwał aż do 1969 r., gdy na Księżycu postawiono amerykańską flagę. W końcu zapanował pokój, trochę fałszywy, ale w pewien sposób utrzymujący nas w politycznej równowadze.

Jezus to przewidział i co więcej powiedział: „I wtedy jeśli by wam kto powiedział: Oto tu jest Mesjasz, oto tam: nie wierzcie. Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i czynić będą znaki i cuda, żeby wpro-

wadzić w błąd, jeśli to możliwe wybranych. Wy przeto uważajcie! Wszystko wam przepowiedziałem”¹⁰.

Ale Brazylia to wyjątkowy kraj, bo tu nawet Chrystus się odrodził. Gdy miałem 25 lat i skończyłem wykład w Kurytybie, przyszły do mnie osoby ubrane na biało. Ludzie myślą, że jeśli ubierają się na biało, ich dusza staje się lepsza. Lepiej byłoby jednak mieć białą duszę w fioletowym stroju niż biały strój, ale fioletową duszę. Owe mistycznie nastawione osoby powiedziały mi:

– Panie Divaldo, Jezus poprosił, żebyśmy pana przyprowadzili.

Przestraszyłem się i powiedziałem:

– Ale co takiego zrobiłem?

– On chce z panem porozmawiać.

Uznałem to za żart i w podobnym tonie odpowiedziałem:

– Ale on zawsze do mnie mówi poprzez Ewangelię.

– On jednak chce z panem porozmawiać i przekazać panu wskazówki, jak o nim mówić.

Na to odparłem:

– Ale ja już je mam. Są zapisane w *Ewangelii według spirytyzmu* Allana Kardeca.

– To nie wie pan, że on wrócił?

– Oczywiście, że wiem. Jest znów z nami, od kiedy wysłał spirytyzm, czyli Ducha Pocieszyciela.

– Chodzi o to, że on jest tutaj w Kurytybie.

– To jasne, dookoła nas – odpowiedziałem.

– Ale on odrodził się w Kurytybie.

To już wykroczyło poza moją zdolność pojmowania. Odparłem więc:

– O tym nie wiedziałem.

– No właśnie. Kazał panu przyjść. W innym przypadku pana ekskomunikuje.

Nieźle się zaczyna. Odpowiedziałem na to:

– Ekskomuniki się nie boję, bo już kiedyś zostałem ekskomunikowany w Salvadorze, w mojej parafii.

Ludzie przyszli mi o tym powiedzieć, bo chcieli poznać kogoś, kto jest ekskomunikowany. W latach 50. wyobrażano sobie, że taka osoba ma

¹⁰ Mk 13, 21-23

rogi, kopyta i ogon. Ludzie przyglądali mi się uważnie, a ja się ich zapytałem, dlaczego to robią.

- Zostałeś ekskomunikowany wczoraj na mszy.
- I w czym problem? - spytałem.
- Nie przejmujesz się tym?
- Nie.

Jako że jestem kiepsko wykształcony, zajrzałem do słownika, żeby zobaczyć, co oznacza słowo ekskomunikowany. To osoba, która przestała być częścią wspólnoty. Ja przestałem, więc jestem ekskomunikowany, tylko że teraz już oficjalnie.

- Zobaczysz, wiele nieszczęść ci się przydarzy – powiedzieli mi.
- Już się przydarzyły. Utyłem. Naszedł mnie apetyt, który przypominał głód z 1870 r. w stanie Ceará.

Miałem więc zostać ekskomunikowany po raz drugi. Na to nie mogłem się zgodzić. Raz - w porządku, ale dwa razy – co to, to nie. Nigdy nie byłem częścią wspólnoty tego człowieka, więc nie mogę być z niej wykluczony. Może mnie co najwyżej wykląć, ale to już inna sprawa. Jako że dużo się pocę, poprosiłem, że gdyby mieli mnie przekląć, to niech przynajmniej nie sprawią, żebym pocił się bardziej, bo to bardzo nieprzyjemne.

Myślałem, że to wszystko żart, aż do dnia, gdy zobaczyłem tego mężczyznę, który wywołał we mnie sporo współczucia i sympatii, w telewizji, gdzie wszyscy go wyśmiewali. Świat lubi jeszcze tego typu osoby, wywołują one uśmiech i różne uczucia.

Jezus powiedział też następujące słowa: „Wy przeto uważajcie! Wszystko wam przepowiedziałem”¹¹. Ileż miłości miał dla nas! Ostrzegał nas dziewiętnaście, czy niemal dwadzieścia wieków temu, byśmy się nie mylili, a my dalej ulegamy złudzeniom.

Prorocze kazanie otwiera przed nami perspektywę wielkiej przemiany, ale ukazuje nam, jak wielką miłością i czułością nas darzył. Rozmawiając z nami, dostrzegł, co nas dręczy i powiedział nam: „Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”¹². Allan Kardec, który bez wątpienia wiernie mu służył, odkryje przed nami, o jakie mieszkania chodziło Je-

¹¹ Mk 13, 21-23

¹² J 14, 1-2

zusowi. W tamtym czasie gwiazdy uznawano za magiczne lampy, które Bóg umieścił na nieboskłonie, by uczynić noce jaśniejszymi. Jezus odnosi się więc do wielu mieszkań w domu Ojca, a Joanna de Angelis mówi, że dzięki obserwacjom dokonany za pośrednictwem teleskopu Galileusza i dzięki wyliczeniom matematycznym horyzonty wszechświata rozszerzyły się w nieskończoność. Wyjaśniła, jak wyglądają i z czego się składają owe miejsca, które wykraczają poza ludzką wyobraźnię, jednocześnie pokazując, jak wiele jest mieszkań w domu Ojca, zgodnie z tym, w jaki sposób mądrze i elokwentnie nazwał je Jezus. Książka ta¹³ została napisana w latach 70., więc niektóre dane zostały zweryfikowane przez naukę. Czytamy więc w niej: „W 100 miliardach słońc [dziś wiemy, że jest ich 200 miliardów] Drogi Mlecznej i w przybliżeniu 100 miliardach istniejących galaktyk, większych niż nasza, zawarte są plany wszechświata, których odczytanie stanowi wyzwanie dla ludzkiej inteligencji, mające skłonić człowieka do zanurzenia się w miłość, która da mu odpowiedź dotyczącą wspałości życia”.

Dzięki teleskopowi Hubble’a możemy dziś w domu zobaczyć w Internecie te miliony galaktyk i przyglądać się, jak niektóre z nich pożerane są przez czarne dziury, a inne rodzą się z gwiazdnego pyłu, śpiewając w ten sposób hymn pochwalny Stwórcy i pokazując, że siódmego dnia wcale nie spoczął, jak widzimy na tym mitologicznym obrazie uczłowieczonego Boga. Jezus powiedział przecież: „Ojciec mój działa aż do tej chwili i Ja działam”¹⁴.

Dzieło stworzenia jest nieskończone, a Bóg wciąż tworzy. Joanna de Angelis mówi, że oprócz galaktyk znajdujących się w niewyobrażalnych odległościach, które wprawiają w zakłopotanie nawet najbardziej śmiałe umysły, odkryto niedawno kwazary, czyli przypominające gwiazdy źródła energii promieniotwórczej, pulsary, supernowe, które wytwarzają blask 10 milionów razy silniejszy niż Słońce. Nie potrafię sobie tego wyobrazić: światło 10 milionów razy silniejsze niż ten reflektor tutaj w Sali. Zgodnie z tym, co mówią badacze teorii Wielkiego Wybuchu, energia przemieszcza się ciągle w kierunku orbity skończonego wszechświata, a gdy tam dociera, powraca i napotyka inną energię udającą się w tamtą stronę. Z ich

¹³ *No limiar do infinito [Na krańcach nieskończoności]*

¹⁴ J 5, 17

spotkania rodzą się kwazary i pulsary będące źródłami energii, a Ziemia wydaje się tak mała wobec wielkości wszechświata.

Astronomowie tacy jak między innymi Edmund Halley, Paul Otto Hesse, Friedrich Wilhelm Bessel przeprowadzili skomplikowane obliczenia i stwierdzili, że nasz Układ Słoneczny krąży wokół Alkione, gwiazdy trzeciej wielkości znajdującej się w odległości 440 lat świetlnych od Ziemi. Tak na marginesie wspomnę, że dane te zbierane począwszy od lat 30. napotykały dziś sprzeciw niektórych naukowców. Osobiście uznają je jednak za autentyczne, co nie oznacza, że odrzucam całkowicie możliwość uznania racji naukowcom, którzy je podważają.

Ci wybitni astronomowie dostrzegli, że wokół Alkione odnaleźć można dziwne i wyjątkowe światło. Układ Słoneczny wykonuje jedno okrążenie wokół Alkione w ciągu 26000 lat, a co 12000 lat zbliża się do tej olbrzymiej gwiazdy otoczonej warstwą fotonów i przebywa w tej strefie przez dwa tysiące lat. A zatem nasz Układ Słoneczny krąży wokół Alkione z gromady gwiazdnej Plejad w gwiazdozbiornie Byka. Plejady są gwiazdami, które można było dostrzec gołym okiem już od czasów starożytnej Grecji, więc pojawiają się na mapach zodiakalnych. W czasie tego okrążenia trwającego 26000 lat, Układ Słoneczny zbliża się do tej olbrzymiej gwiazdy co 12000, wkracza w powłokę fotonów i pozostaje w niej przez 2000 lat.

12000 lat temu miało miejsce zjawisko, które dawni badacze z Indii nazwali wiekiem mroku Kalijuga. Był to czas, gdy naszą planetę zaczęły zamieszkiwać istoty inteligentne i pojawili się tu przybysze z gwiazdozbioru Woźnicy, którzy mieli się wcielać na Ziemi w tym okresie.

Zauważmy, że od tamtej pory minęło właśnie 12000 lat, więc wspomniani naukowcy wierzą, że począwszy od 1972 r. Układ Słoneczny zaczął się zbliżać do tej powłoki fotonów, a od 1978 r. Ziemia znalazła się w tej strefie energetycznej, która wytwarza pewne światło, będące wynikiem wzbudzenia cząsteczek, ale światło, które nie ma ani blasku, ani nie rzuca cienia. Zbliża się ono od 1978 r.

Ludzie mający ponad 40 lat widzą dobrze, że dzieci, które zaczęły się w tamtych latach rodzić mają pewne wyjątkowe cechy charakterystyczne: przede wszystkim nadpobudliwość i przenikliwość. Dziś psychopedagogika mierzy się z licznymi trudnościami w leczeniu dzieci z ADHD, nadpobudliwością, problemami z mówieniem do trzeciego roku życia.

Nadpobudliwość zawładnęła światem, co zmusiło psychoterapeutów i psychiatrów do przepisywania pacjentom środków uspokajających, których specjaliści nowej ery nie zalecają. Medykamenty te oddziałują na mózg, zmniejszając aktywność dziecka, co może przyczynić się do późniejszego uzależnienia od leków. Nie dziwi więc, jak wielu młodych ludzi uzależnionych jest od narkotyków.

Allan Kardec pisze więc w rozdziale *Znaki czasu*: „Ludzkość dorosła i ma nowe potrzeby, szersze i wyższe aspiracje. Rozumie braki idei, w których została wychowana i to, że dawne instytucje nie wystarczały, by zapewnić jej szczęście”¹⁵.

Kodyfikator idzie dalej: „Aby ludzie byli szczęśliwi na Ziemi, ta musi być zamieszкана wyłącznie przez dobre Duchy wcielone i odcieleśnione, które będą pragnąć jedynie dobra. Gdy nadejdzie ten czas, dojdzie do wielkiej emigracji jej mieszkańców. Ludzie czyniący zło dla samego zła, których uczucie dobra nie dotyka, nie będą godni mieszkania na przemienionej Ziemi i zostaną z niej wykluczeni, gdyż mogliby przynieść na nią niepokój i zamieszanie, stając się przeszkodą dla postępu. [...] Zastąpią ich lepsze Duchy, które sprawią, że zapanuje między ludźmi sprawiedliwość, pokój i braterstwo”¹⁶.

Słowa te odnajdujemy w *Genezie* opublikowanej w 1867 r. Zapowiadają one sto lat wcześniej moment wielkiej przemiany planetarnej.

„Obecna epoka jest czasem przemiany. Przedstawiciele obu pokoleń miesza się między sobą. Znajdujemy się w miejscu przejściowym i uczestniczymy w odejściu jednych i przybyciu innych. Każdą z tych grup już na tym świecie charakteryzują specyficzne cechy”¹⁷.

Kiedy zobaczyłem ten slajd i dostrzegłem na nim małego terrorystę nowej ery (patrz niżej), zrobiło mi się przykro. Stworzenie komputera zainspirował Bóg, ale zabrał się za to Szatan, żeby służył tym, którzy dopiero się rodzą, a dla ludzi starszych stał się tragedią.

¹⁵ Allan Kardec, *Geneza*, rozdział XVIII, *Znaki czasu*, zob. *Spirytyzm* 1/2012, s. 18 i kolejne

¹⁶ Allan Kardec, *Geneza*, rozdział XVIII, *Nowe pokolenie*, pkt. 27, zob. *Spirytyzm* nr 1/2012, s. 33 i kolejne

¹⁷ *ibid.* pkt. 28



Transição Planetária - DIVALDO FRANCO
28º Congresso Espirita do Estado de Goiás - FEEGO

Pewien przyjaciel opowiedział mi, że pisał na klawiaturze, a jako że nasze palce uderzają zawsze nie tam, gdzie trzeba, nacisnął jakiś klawisz, a ekran zrobił się biały. Próbował to jakoś naprawić, ale w końcu zabrakło mu pomysłu i zawołał sześciolatniego wnuczka:

- Guilherme, zobacz, co się tu stało...
- Dziadku, Ctrl, Esc, Shift i puf.

Spojrzał na chłopca i pisał dalej. Chyba jednak nie czuł się najlepiej tego dnia, bo znów się pomylił i już zdenerwowany krzyknął:

- Guilherme!
- Dziadku...

Wnuczek znów naprawił ekran, uśmiechnął się i poszedł się bawić. Ale po raz trzeci maszyna odmówiła posłuszeństwa.

– Dziadku, co ty robisz? Jak ty masz wszystko skonfigurowane. Zobacz!

Uderzył parę razy palcami w klawisze, a gdy skończył, spytał:

- Dziadku, jak ty sobie radziłeś, zanim się urodziłem?

Ja również miałem podobną sytuację. Przepisywałem na komputerze książkę i darłem każdą stronę, którą skopiowałem. Ale zapomniałem zapisać... I wiecie, jak się poczułem... Popłakałem się, bo musiałbym posklejać wszystkie strony oryginału, a czasu mam przecież tak mało. Powiedziałem tylko: „O Boże”, ale nagle do pokoju wszedł mój wnuczek, taki ośmioletni rozrabiaka:

- Co się stało dziadku? Płaczesz?

– Tak, dziecko. Ale nawet ci nie powiem, co się wydarzyło, bo nie rozumiesz... Coś się stało na komputerze.

– Co, dziadku?

– Plik zniknął. Nie wiem, gdzie jest.

– Jest zapisany, chcesz zobaczyć? Raz, dwa i już jest. Proszę.

Spojrzałem na chłopca i po łacinie powiedziałem: „*Vade retro Satanas!*”¹⁸

Przypomniałem sobie wówczas pewną anegdotę. Szatan wyzwał Jezusa na pojedynek w pisaniu na komputerze, a ten oczywiście odmówił. On był przecież z innych czasów. Szatan go wyśmiał, więc zaczęły się dyskusje i aniołowie powiedzieli:

– Panie, musisz przyjąć wyzwanie.

Po długiej dyskusji Jezus stwierdził:

– Przegram, ale przyjmuję.

Wybrano olbrzymie audytorium w Nowym Jorku. Zasiadły tam demony, których było wiele, a z drugiej strony nieliczne anioły. Jezusa posadzono przed komputerem, który był chyba jeszcze z ery dinozaurów, a Szatan zasiadł przed supermaszyną. Sędziowie powiedzieli, że można zaczynać, więc Szatan od razu trrrrrrrrr, a Jezus powolutku puk, puk, puk...

Gdy zatrzymano czas, sędziowie poszli sprawdzić wyniki i ku ogólnej radości okazało się, że Jezus wygrał, a demon poniósł porażkę.

– Ale jak to? - zdziwił się Szatan. - Tyle napisałem, a on wygrał?

– Tak. Bo tylko Jezus zapisuje¹⁹.

Mamy więc pewność, że tylko Jezus zbawia, a jako że dla nas zbawieniem będzie teraz obiad, zatrzymamy się tutaj i przejdziemy do kolejnej części seminarium o 14.30. Dziękuję bardzo za uwagę.

Koniec części drugiej

Ostatnia część seminarium zostanie opublikowana w następnym numerze kwartalnika „Spirytyzm”

¹⁸ łac. Oddal się, Szatanie - średniowieczna formułka egzorcyzmu.

¹⁹ Chodzi o grę słów, której nie da się oddać w języku polskim. W portugalskim, podobnie jak w angielskim, jednego słowa używa się w znaczeniu „zbawienia” i „zapisania pliku”. Porównaj angielskie: *Only Jesus saves*.



Objawienie

Arthur Conan Doyle

fragment dzieła: „Co to jest spirytyzm? Nowe objawienie”

Teraz mogę z pewną ulgą przystąpić do roztrząsania problemu z już mniej osobistego punktu widzenia. Mówiłem już o nowej nauce. Skąd ją otrzymujemy? Głównie na drodze automatycznego pisania – gdy ręka ludzkiego medium znajduje się pod kontrolą albo rzekomo jakiegoś zmarłego (jak w przypadku Julii Ames), albo rzekomo pod kontrolą wyższej istoty (jak w przypadku p. Staintona Mosesa). Te pisemne wiadomości uzupełnia wielka ilość powiedzeń wygłoszonych w stanie transu, a tak samo i słowne wieści duchów, przejęte przez usta mediów. Te doszły nieraz drogą bezpośredniego głosu, jak to opisuje admirał Usborne Moore w swej książce *The Voices* (*Głosy*). Czasem też przy posiedzeniach drogą wirujących stolików; dwa takie wypadki z mego własnego doświadczenia opisałem powyżej¹. Wydarzyło się też raz (jak w wypadku opisanym przez pannę Morgan), że wieść została przesłana za pośrednictwem ręki dziecka.

Oczywiście nasuwa się w tej chwili wątpliwość: Skąd właściwie wiemy, że te wszystkie wieści istotnie pochodzą z zaświata? Skąd wiemy właściwie, że medium nie pisze tego świadomie albo też, jeśli pisze wieści swe nieświadomie, czy jego podświadomość nie gra przy tym decydującej roli? Taka krytyka jest zupełnie słuszna i powinna być w każdym poszczególnym wypadku bezwzględnie stosowana. Bo gdyby cały świat wypełnił się mało wartościowymi prorokami, gdyby każdy z nich chciał głosić swe prywatne zapatrywania, nie mając innego dowodu na ich prawdziwość jak własne zapewnienia, to istotnie runęlibyśmy w ciemną erę bezkry-

¹ zob. *Spirytyzm: kwartalnik Polskiego Towarzystwa Studiów Spirytystycznych* 1/2012

tycznego zaślepienia religijnego. Dlatego żądać musimy znaków prawdziwych, znaków, które możemy badać, bo dla badania samych wieści brak nam możliwości. W dawnych czasach żądano takich znaków od proroków. Było to słuszne żądanie, któremu i dzisiaj musimy przyznać rację. Jeśli ktoś do mnie przyjdzie z relacją o rzekomym życiu po śmierci, bez żadnego innego dowodu niż własne twierdzenia, to rzucam takie wiadomości do kosza. Życie jest zbyt krótkie, aby badać wiarygodność takich produktów. Ale jeśli przyjdzie do mnie ktoś taki jak Stainton Moses ze swymi *Naukami duchów*, które pochodzą rzekomo z zaświata, i jeśli ten człowiek posiada równocześnie wiele darów nadprzyrodzonych (Stainton Moses był jednym z najwybitniejszych, najwszechstronniejszych mediów, które Anglia wydała), to zapatruję się już o wiele poważniej na sprawę. Podobnie jak panna Julia Ames jest w stanie podać panu Steadowi zdarzenia ze swego życia ziemskiego, o których p. Stead nie był w stanie cokolwiek wiedzieć, i jeśli te zapodania okazują się następnie prawdziwe, to jest się już bardziej skłonny uznać i tę ich część za prawdziwą, której skontrolować nie można. Albo jeśli „Raymond”² jest w stanie opisać fotografię, której kopia nigdy nie dostała się do Anglii i jeśli ten opis okaże się zupełnie zgodny z oryginałem i jeśli „Raymond” jest w stanie podać przez usta obcych osób obdarzonych siłą medialną, wszystkie możliwe szczegóły swego domowego życia na ziemi – zapodania, które jego krewni zbadali i uznali za prawdziwe, to czy jest czymś tak bezrozumnym twierdzić, że i opis jego doświadczeń po śmierci i warunków jego bytowania w czasie tychże wiadomości przynajmniej częściowo odpowiada rzeczywistym warunkom tego bytu? Albo jeżeli p. Arthur Hill otrzymuje wieści od ludzi, których egzystencja była mu zupełnie nieznana, i jeśli wszystkie szczegóły tych wieści okazują się prawdziwe, to czy nierozumny będzie wniosek końcowy, że autorzy tych zapodań dadzą także prawdziwe wyjaśnienia co do swego obecnego stanu? Mnie chodzi o stwierdzenie tego jednego, że cały ten system, poczynwszy od najniższych fizykalnych zjawisk, tzw. wirowania stolików, aż do najwyższego natchnienia poselstwa proroka, stanowi jednolitą całość, w której jedno ogniwo wiąże się z dru-

² Raymond, o którym wspomina Doyle, był synem prof. Olivera Lodge’a, który zginął w I wojnie światowej. Wkrótce potem jego duch zaczął komunikować się przez media spirytystyczne i ujawnił nieznaną wcześniej fotografię, na której był obecny zmarły – przyp. red.

gim. A gdy owo pierwsze, niepozorne ogniwo tego łańcucha dane zostało do rąk człowieka, to stało się to z tym zamiarem, abyśmy pilnie i z rozsądkiem szukali drogi wiodącej ku górze, w górę ku objawieniu, które nas oczekuje po drugiej stronie. Nie należy wzruszać lekceważąco ramionami nad niepozornym pierwszym ogniwnem, nie powinno się szyderczo śmiać z poruszeń stołu, z latania tamburynów, acz tak często nadużywano tego rodzaju zjawisk w zamiarach oszukańczych. Spadające jabłko nauczyło nas prawa grawitacji, kipiąca maszynka do herbaty dała nam maszynę parową, drgające udka żabie otworzyły nam pole elektryczności. Podobnie i owe niepozorne manifestacje w Hydesville otworzyły nam nowe obszary badania, którymi zajmowały się w ciągu ostatnich dwudziestu lat najwybitniejsze umysły tego kraju, przy czym osiągnęły dzisiaj już rezultaty, których przeznaczeniem jest dźwignąć ludzkie poznanie w regiony tak wysokie, do jakich dotąd jeszcze ludzie nigdy nie dotarli.

Ludzie, których sąd wysoko cenię, zwłaszcza sir William Barrett zapewniają, że badania psychiczne³ i religia zasadniczo się od siebie różnią. Oczywiście, to jest w tym rozumieniu, że badacz psychiczny może być bardzo złym człowiekiem. Ale rezultaty badania psychicznego, wynikające z nich dedukcje i wnioski, uczą o dalszym trwaniu duszy, opisują rodzaj tego życia i jego zależność od naszego zachowania na ziemi. Jeśli to wszystko różni się od pojęcia i istoty religii, to muszę przyznać, że tej różnicy nie rozumiem. Dla mnie to jest właśnie religia, jej prawdziwa istotna treść. Ale to wszystko nie zawiera jeszcze twierdzenia, że teraz musi się koniecznie wytworzyć nowa religia. Co do mnie, mam nadzieję, że to nie nastąpi. Zaprawdę dość już jesteśmy dziś niezgodni w kwestiach religijnych. Spodziewam się raczej, że nowe poznanie okaże się wielką siłą jednoczącą, a to jako jedyny w związku z każdą religią pozostający fakt dowodowy, bez względu na to, czy to religia chrześcijańskiego czy niechrześcijańskiego światopoglądu – że to nowe poznanie utworzy wspólną, silną podstawę dla rozmaitych form religijnych wyznań (jeżeli już wyznania te istnieć muszą w rozmaitych postaciach, aby przemawiać do rozmaitych typów uczucia i rozumu). Południowe rasy pragnąć będą zawsze łagodniejszych form niż północne. Zachód zawsze będzie krytyczniejszy niż wschód. Otóż ludzie nie dadzą się wszyscy podciągnąć

³ Dziś powiedzielibyśmy raczej *parapsychologiczne* – przyp. red.

pod jedno kopyto. Jeśli jednak sprawdzone, z zaświata dochodzące wieści uznane zostaną za wspólną podstawę, w takim razie rodzaj ludzki uczynił wielki krok naprzód ku religijnemu pokojowi i jedności.

Teraz nasuwa się nam pytanie, jak to nowe poznanie podziela na dawniejsze, zorganizowane już nauki religijne i filozofię, na te światopoglądy, które były dotąd miernikiem wartości dla ludzkich działań.

Jednemu tylko z tych światopoglądów nowe poznanie przynosi zagładę: materialistycznemu. Nie przemawia przeze mnie duch niechęci do materialistów. Są oni, moim zdaniem, jako całość więzi, tak samo szanownym i moralnym ogółem jak każdy inny. Jest jednak rzeczą jasną, że nauka materialistyczna traci pod nogami grunt, na którym stoi, jeżeli duch istnieć może bez materii. Cały jej system musi tym samym runąć.

I konwencjonalne chrześcijaństwo doznać by musiało niesłychanego wstrząśnienia wraz z przyjęciem tej nauki przesłanej z zaświata. W tym wypadku chodzi jednak raczej o objaśnienie i rozwój aniżeli o sprzeczność. Nowa nauka wyjaśniłaby grube nieporozumienia, które od dawna już kolidowały z rozumem każdego myślącego człowieka, i skierowałaby je na nowe tory, potwierdziłaby natomiast fakt życia po śmierci jako podstawę każdej religii i dostarczyłaby dlań niezbitego dowodu. Potwierdziłaby istnienie istot wyższych, które nazywaliśmy dotąd aniołami, istnienie coraz wyżej wznoszących się sfer, w których działa Chrystus Duch – sfer gubiących się w wysokościach bezkresnych, które łączyć zwykliśmy z pojęciem Wszechmocy i Bóstwa. Tak więc znalazłaby oparcie swe idea nieba oraz idea o stanie czasowej kary, odpowiadająca raczej pojęciu czyśćca aniżeli piekła. Przy tym w istotnych punktach nowa nauka bynajmniej nie burzy starej wiary. Poważni wierzący ludzie wszystkich wyznań powinni by powitać nowe objawienie jako najpotężniejszego sprzymierzeńca, a nie brzydzić się nim jako wymysłem czarta.

A pod jakim względem dozna religia chrześcijańska uszlachetnienia przez nowe objawienie?

Religia chrześcijańska musi się zmienić albo upadnie. Ta prawda nasuwa się nieodparcie wielu ludziom, jakkolwiek niejedni nad tym ubolewa. Konieczność przystosowania się jest życiowym prawem. Religia chrześcijańska opierała się temu rozwojowi zbyt długo, tak długo, aż jej kościoły na wpół się opróżniły, aż zwolennikami jej pozostały przeważnie

kobiety, aż na wysokości drabiny społecznej odwrócili się od niej bogaci, a na dole biedacy, tak w mieście jak i na wsi. Ten objaw da się zauważyć u wszystkich chrześcijańskich odłamów i podchodzi z tego samego źródła. Będziemy usiłowali do niego dotrzeć.

Zobojętnieliśmy dla religii chrześcijańskiej, bo nie możemy wierzyć w jej nauki, które się nam zwiastuje jako fakty rzeczywiste. Rozum nasz i nasze poczucie sprawiedliwości doznają obrazy. Nie możemy dopatrzeć się sprawiedliwości w ofercie niewinnego zastępcy. Nie możemy uznać poczucia sprawiedliwości u Boga, który daje się ubłagać przez takie środki. I wielu z nas nie może zrozumieć wyrażenia, jak: „oczyszczony przez śmierć baranka” albo „wybawienie od grzechu”. Jak długo grzech pierworodny mógł ogółem wchodzić w rachubę, tak długo dały się podobne zwroty wytłumaczyć w ten lub inny sposób. Odkąd jednak wykazano na pewno, że ów grzech pierworodny nie mógł nigdy mieć miejsca, odkąd jesteśmy w stanie coraz to umiejętniej wybadać dzieje naszych przodków, poprzez epokę praczłowieka i jaskiniowca w tył, aż do odległych czasów rozwoju człowieka podobnego do małpy z małpy podobnej do człowieka, odkąd jesteśmy w stanie rzucić okiem w tył na ten olbrzymi okres stawania się, poznaliśmy, że życie rozwijało się poprzez ciągły opór ustawicznie w górę, coraz to wyżej i wyżej. Nie było nigdy żadnego dowodu na jakiś grzech pierworodny – cóż stanie się teraz z odpłatą za winy, z wybawieniem, z grzechem dziedzicznym, ze znacznym działem mistycznej filozofii chrześcijańskiej? Nawet i wtedy, gdyby ta filozofia miała tyle sensu, ile jej go brak, stałaby w jaskrawej sprzeczności do rzeczywistości.

Zbyt wiele uczyniono ze śmierci Chrystusa. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że ludzie kładą swe życie w ofercie za ideę. Wszystkie religie miały swych męczenników. We wszystkich czasach ludzie umierali za swe przekonania. Tak też umierają w tej chwili tysiące naszych młodzianów na ziemi francuskiej⁴. Jak piękne jest opowiadanie Pisma Świętego samo przez się, śmierć Chrystusa nabrała nienależnego jej znaczenia... tak jakby śmierć w służbie jakiejś reformy była zgoła wyjątkowym zjawiskiem. Natomiast w przeciwieństwie do śmierci Chrystusa zbyt mało podniesiono znaczenie jego życia. W życiu leżała cała wspaniałość jego nauki. Mimo że tak skąpe są przekazane nam o nim wiadomości, żadna nie podaje

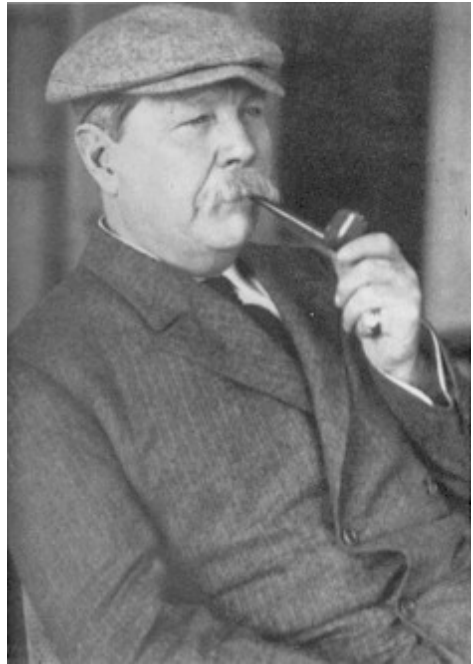
⁴ Autor ma na myśli I wojnę światową – przyp. red.

choćby jednego rysu jego życia, który nie byłby wspaniały. Pełen pobłażania dla drugich, pełen litości, wielkodusznej miary, pełen odwagi swych przekonań, zawsze dążący do postępu i nowym podnietom przystępny, mimo to bez goryczy wobec przekonań, które zwalczał, choć okazywał czasami swoją niechęć ich małoduszny przedstawicielom. Szczególnie godna umiłowania wydaje nam się jego gorliwa chęć ujęcia ducha religii przez to, że usuwał formalizm i kult słowa. Jaśniejący przykład zdrowego rozumu i współczucia ze słabymi dla wszystkich. To tak cudownie z codzienności dźwigające się życie jest tym, co stanowi prawdziwy ośrodek religii chrześcijańskiej, a nie Jego śmierć.

Jakiego wyjaśnienia o tej kwestii chrześcijaństwa są w stanie nam udzielić nasi przewodnicy duchowi z zaświata? Jeżeli zestawimy pewną ilość ich przekazów, to wyniknie w zasadniczych zarysach, co następuje: U naszych umarłych znajduje się wiele wyżej stojących istot duchowych, które przedstawiają rozmaite stadia rozwoju. Można je nazwać „aniołami”, jeśli się pragnie pozostać przy dawnych religijnych wyobrażeniach. Wysoko ponad nimi unosi się najwyższa z istot duchowych, o których wiedzą – nie Bóg, bo Bóg jest tak nieskończony, że się usuwa od ich bliższego poznania, ale istota, która Bogu jest bliższa i dlatego miejsce jego zastępuje. Jest to Duch Chrystusowy, którego szczególnej pieczy poruczona jest Ziemia. Zstąpił na nią w czasach wielkiej nieprawości – wtedy gdy była prawie tak zła jak dzisiaj – aby dać ludziom naukę swego życia. Potem powrócił w swe sfery i pozostawił przykład, który i dziś jeszcze od czasu do czasu znajduje naśladowców. Tak brzmi nauka duchów o Chrystusie. Nie zawiera niczego o karze za winy albo zbawieniu. Ale jest zupełnie rozumna i zrozumiała tak, że przynajmniej ja jestem gotów jej chętnie zawierzyć.

Gdyby to zapatrywanie na chrześcijaństwo przyjęte zostało przez wszystkich, gdyby wzmocnione zostało słowem z zaświata, wtedy powstałaby wiara, która jest w stanie zjednoczyć wszystkie kościoły, którą można pogodzić z wiedzą, która oparłaby się wszystkim atakom i dźwigała wiarę chrześcijańską po wszystkie czasy. Wtedy wybiłaby nareszcie godzina pojednania wiary i wiedzy, byłibyśmy wolni od zmory i pokój duchowy byłby między nami.

Moim zdaniem przyjdzie taki przewrót nie w postaci nagłego zwycięstwa, albo gwałtownej rewolucji, ale raczej jako ciche, pokojowe przenikanie prawdy, podobnie jak w obrębie naszego życia na ziemi bledną z wolna wyobrażenia surowe, takie np. jak te o wiecznym piekle. W czasach niedoli, gdy troska rozrywa duszę człowieka na kształt roli, przez którą przechodzi pług, jest właśnie najlepsza po temu chwila, aby rozpocząć siejbę nasienia prawdy. I tak z pewnością wyrosnie w przyszłości żniwo duchowe z naszych dni rozpaczy.



Gdy czytam dziś Nowy Testament w świetle mej spirytystycznej wiedzy, to nasuwa mi się nieodparcie przeświadczenie, że dawny kościół postradał bardzo znaczną część nauki Chrystusowej i że nadzwyczaj ważne zdarzenia nie zostały przekazane naszym czasom. Wszystkie owe aluzje do zwycięstwa nad śmiercią posiadają, moim zdaniem, w dzisiejszej filozofii chrześcijańskiej podrzędne znaczenie. Dla tych jednak, którzy, acz tylko jak przez mgłę, zajrzeli poza zasłonę, dla wszystkich, którym dane było dotknąć dłoni wyciągniętych do nich z zaświata – jakkolwiek tylko zaledwie – dla tych wszystkich pokonanie śmierci jest pewnikiem. Jeśli czytamy, jak często Pismo powołuje się na zjawiska tak już dla nas zwyczajne (jak unoszenie się ciał, mówienie „ognistymi językami”, jak „szumiący wiatr, działanie darów spirytystycznych”, czynienie „cudów”), to jesteśmy pewni, że stojący pośrodku tego fakt, dalsze trwanie życia i obcowanie z umarłymi, i wtedy były z pewnością znane. Wytężamy słuch, gdy spotykamy wyrażenia takie, jak „Tutaj nie czynił cudów, albowiem nie było wiary w ludziach”. Czy to nie pokrywa się zupełnie z naszą wiedzą o prawdach psychicznych? Albo kiedy Chrystus mówi, gdy dotknęła go chora kobieta: „Kto mnie dotknął? Wiele cnoty ubyło mi”. Czy mógłby

jaśniej wyrazić to, co dzisiaj powiedziałoby medium leczące, z tą tylko różnicą, że medium użyłoby słowa „siła” na miejsce „cnota”. Albo gdy czytamy: „Doświadczaj duchy, azali od Boga pochodzą”. Czy byśmy dzisiaj nie dali tej samej rady nowicjuszowi na posiedzeniu?

Kwestia poruszona jest tak obszerna, że mogę ją tu tylko naznaczyć. Sądzę jednak, że właśnie ten punkt, na który wyznania chrześcijańskie uderzają tak ostro, stanowi w istocie jądro całej nauki chrześcijańskiej. Tym, którzy pragną dowiedzieć się o tym czegoś więcej, polecam książkę dr. Abrahama Wallace’a pt. *Jezus z Nazaretu*. Z przekonującą siłą dowodzi on, że „cuda” Chrystusa poruszały się wszystkie w obrębie tych psychicznych praw, jakie dzisiaj znamy. Dwa przykłady podałem już nieco wyżej, dwa inne znajdują się w przytoczonym dziele. Opisany przez obu apostołów przebieg materializacji zgadza się nadzwyczaj dokładnie z prawami psychicznymi i dlatego działa z taką przekonującą siłą. Piotr, Jakub i Jan zostali wybrani, oni stanowili psychiczne koło, gdy „umarły” przywołany został do życia, prawdopodobnie posiadali najsilniejszy dar. Zwrócić należy uwagę tak na to, że obrano wysoką górę z jej czystą atmosferą, jako też i na oszołomienie współdziałających mediów, a następnie przemienienie – jaśniejące szaty, mgły – jako też słowa „zbudujmy trzy przybytki” albo, jak mówi inna wersja, „trzy chaty albo cele”. Wszak to idealne miejsce, aby skoncentrować siły psychiczne i wywołać materializacje. Wszystkie te szczegóły dają nam wystarczającą podstawę do oceny natury tych wydarzeń. A następnie: te poszczególne dary, które św. Paweł naprowadza jako konieczne wymogi Chrystusowego ucznia, identyczne są wprost z darami medium o dużej sile, z włączeniem daru proroczego, siły uzdrawiającej, czynienia „cudów” (to jest fenomenów fizycznych), jasnowidzenia itd. (por. I List do Koryntian XI, 10-11 – innemu będzie danym czynienie cudów, innemu jasnowidzenie, innemu rozróżnianie duchów, innemu różne języki, innemu wykładanie języków. Ale to wszystko sprawuje ten sam jedyny Duch i każdemu przydziela jego część, której on pragnie). Zaprawdę pierwotny Kościół chrześcijański przeniknięty był spirytyzmem, a wyznawcy jego zdawali się nie zważać na postanowienia Starego Testamentu, które zabraniały wykonywania praktyk spirytystycznych w tym tylko celu, aby zastrzec wyłącznie kapłaństwu ich użytek i korzyść.



Zjawiska materializacji Schrencka-Notzinga

Ludwik Tomanek

fragment dzieła: „Dziwy mediumizmu”

– Więc pan wierzy w takie brednie i nonsensy? – zapytał mnie jeden z poważnych intelektualistów, gdy mu opowiadałem o seansach z Guzikiem. Wzięto pana na kawał w bardzo wyrafinowany sposób. Gdzież pan ma dowody, że ktoś nie pomagał Guzikowi w jego operacjach, że on sam nie wywoływał tych fenomenów. W ogóle, zakończył ów pan apodyktycznie, wołałbyś pan zajmować się czymś poważniejszym, niż bezkrytycznie dawać wiarę historyjkom mediumistycznym.

Otóż temu panu i podobnym neofobom, chciałbym odpowiedzieć rozprawką o fenomenach Schrencka-Notzinga. Choć dowód to będzie nie wprost, to jednak można śmiało powiedzieć, że z faktów, jakie zebrał ów niemiecki uczony, wynika niezbicie oczywistość zjawisk mediumistycznych. A jeśli zjawiska te były możliwe u mediów Scherenck-Notzinga, to nie ma racji odrzucać Guzika, jakkolwiek jego materializacje nie podległy tak ścisłej i drobiazgowej kontroli jak poniżej opisane.

Doktor Schrenck-Notzing jest monachijskim lekarzem-psychiatrą, autorem licznych dzieł ze swego zakresu i dzięki swym badaniom mediumicznym stał się ogólnie uznaną postacią.

Badania te prowadzi od blisko trzydziestu lat sumiennie, gruntownie, krytycznie bez uprzedzeń i iluzji, powodowany jedynie pragnieniem zdobycia wiedzy i prawdy. W r. 1909 na zaproszenie pana Bissona, sławnego francuskiego dramatopisarza, wyjechał do Paryża, gdzie zapoznał się

z medium Ewą C., z którą odbywał przez cztery lata ogromną ilość posiedzeń spirytystycznych. Posiedzenia te przeniósł później do Monachium. Bezpośrednio potem eksperymentował z medium polskim Stanisławą P. Przebieg tych wszystkich posiedzeń opisał dokładnie i bardzo szczegółowo w dużej książce, zatytułowanej: *Schrenck-Notzing Materialisations Phänomene*, München 1914. Dzieło to jest niezmiernie bogato ilustrowane zdjęciami fotograficznymi zjawisk, powstałych podczas seansów, co do których autentyczności nie możemy mieć wątpliwości wobec powagi naukowej, w jakiej jest utrzymane całe dzieło.

Pierwsze medium uczonego Ewa C. to dwudziestoletnia panienka z mieszczańskiej francuskiej rodziny, której fizyczny i psychiczny portret maluje nam autor bardzo szczegółowo. Jej mediumiczne własności zwróciły uwagę państwa Bisson, którzy od dawna już interesowali się tymi zagadnieniami; oni więc sprowadzili ją do siebie i tam w zamkniętym kółku, do którego i dr S. N. został dopuszczony, urządzano seanse.

Jak wskazują protokoły, w pierwszych latach około 40 proc. posiedzeń było ujemnych, później zaś 60 proc. Na posiedzeniach dodatknych zauważono jedynie tzw. materializacje, a zupełnie nie dostrzeżono jakichkolwiek fizycznych manifestacji, jak np. u Eusapii Paladino i p. Guzika. Żadnych więc nie zanotowano pukań, podnoszeń stołu, aportów lub telekinetycznych fenomenów ani objawów świetlnych.

Jej specjalnością było jedynie wytwarzanie zmaterializowanych ciał, począwszy od ledwo widocznych obłoczków, a skończywszy na stałych tworach o twardej konsystencji głów i ciał ludzkich. Fenomeny te były w miarę posiedzeń coraz bardziej rozwinięte i wyraziste. Z początku widziano tylko białe plamy o nieregularnej postaci, później ręce i ramiona w szkicowych zarysach bez ciał. Spostrzeżenia były przelotne, czerwone światło, przy którym eksperymentowano, dosyć ciemne. Powoli udało się wzmocnić oświetlenie, wiara w siebie u medium wzrosła, przez co podniosła się i intensywność fenomenów. Wszystkie te optyczne wrażenia trwały po kilka sekund. Niezależnie od surowej kontroli, jakiej poddawano medium przed posiedzeniem i po posiedzeniu można było od pierwszych chwil oglądać przez cały czas ręce, a później i nogi medium. W końcu ukazały się twarze i udało się przy momentalnym oświetleniu wykonać zdjęcie. Z reguły Ewa zapominała o wszystkim, co zaszło podczas seansów.

Oto jak się odbywały wszystkie posiedzenia. Przykładem może być tu protokół z pierwszego posiedzenia z dnia 21 maja 1909, który podajemy w nieznacznym skróceniu:

„Uczestnicy: państwo Alexandre Bisson, państwo André Bisson, pan Chevieuil (malarz) pan R. M., pan Delanne i autor. Miejsce posiedzenia: mały pokój w kształcie atelier na piątym piętrze w domu Avenue Victor Hugo 5,5 m długości, 3 m szerokości, o jednym wyjściu do sypialni. Drzwi te znajdowały się w niszy, utworzonej przez kominek o podstawie kwadratowej wymiarów 80x80. Otwór niszy był zamknięty przez ciężką zasłonę o dwóch skrzydłach. Cała wewnętrzna ściana obciągnięta czarną materią, ta zaś przytwierdzona gwoździkami do ściany.

Również lekki fotel trzcinowy, na którym Ewa siedziała, był obciągnięty czarną materią. Staranne przeszukanie gabinetu i fotelu przyniosło ujemny rezultat. Nigdzie nie znajdowały się tajemne drzwi albo półki; wszędzie, gdzie ręka mogła wejść pod materię, nic nie znaleziono. Drzwi zostały przeze mnie osobiście zamknięte i zabezpieczone. Kontrola okazywała po posiedzeniach zawsze nietkniętą pieczęć.

Skoro medium w gabinecie zostało zahipnotyzowane, co załatwiał z początku krewny dziewczęcia p. R. M. który później nie brał udziału w posiedzeniach, następowało zamknięcie zasłony. Oświetlała pokój elektryczna lampa o sile szesnastu świec, obwieszona kilkoma kawałkami czerwonego papieru albo materii. W miarę jak część tych kawałków ujmowano albo dodawano, robiło się jaśniej lub ciemniej. Na razie oświetlenie było wystarczające do rozpoznania wskazówek zegarka także w pobliżu portier.

Ewa rozbierała się przed posiedzeniem i musiała włożyć odzienie przyniesione jej przez uczestników, które poprzednio dokładnie zbadano. Składało się ono z czarnych majtek trykotowych złączonych z pończochami; majtki te bez żadnego otworu sięgały aż do bioder i tam były wokół zszyte z suknią. Suknia była z jednej sztuki spódnicą zszytą z bluzką o półdługich rękawach.

Wszelkie inne odzienie jak koszula itp. odpadały. Otwór szyi i rękawy były również przedtem ściśle przy ciele przez panią Bisson zszywane. Prócz tego dokonywano bardzo często badań ginekologicznych i anusowych zarówno przed rozpoczęciem posiedzeń, jak i po seansach, stale z negatywnym rezultatem. Ewa przychodziła z reguły na posiedzenia bez obuwia.

Gdy medium po tych badaniach wchodziło do gabinetu, można było przyjąć, że ani za kotarą, ani w ciele Ewy nie ma jakichkolwiek białych materii lub przyrządów. Skoro tylko usiadła (stałem przy niej) przystąpił do niej p. M i wprowadził Ewę mesmerycznymi pociągnięciami w hipnozę.

Pan R. M. odstąpił i pani Bisson zamknęła zasłonę.

Czas posiedzenia od 9.20 do 10.50. Pierwsza część tych posiedzeń odbyła się przy zachowaniu spirytystycznych tradycji i zwyczajów, które później odpadły.

Medium zażądało po krótkim czasie, aby obecni śpiewali, co uczynili nucąc chóralnie różne melodie. Po jakiej pół godzinie zasłona otworzyła się na 10-15 cm, ale tylko na przeciąg 2-3 sekund. Ujrzałem zarysy i profil białej odzianej postaci wielkości dorosłej osoby, która się potem sześć razy z rzędu pokazywała to *en face* to *en profil*. Można było wyraźnie spostrzec twarz średniej wielkości z wyraźnymi rysami, niepozwalającymi jednak rozróżnić, czy to były kobiece lub męskie rysy. Na głowie znajdował się silnie umocowany turban z białej materii, który dość głęboko zachodził na czoło i przypominał bandaż operowanego. Medium nie było przy tym równocześnie widzialne.

Raz spostrzeżono głowę dość blisko podłogi, ta głowa potem się podniosła, ażeby pokazać się w profilu. Ręce medium można było zauważyć częściowo jako białe plamy.

W tych warunkach zjawiał się raz fenomen w tym samym kostiumie po prawej ręce medium. Zasłona została od środka ściągnięta i znowu otwarta; przed nami stało teraz medium w swej czarnej szacie. Ledwo dwie sekundy wystarczyły, aby optyczny obraz znikł.

Po posiedzeniu znowu dokładne badanie Ewy i gabinetu. Brak jakichkolwiek podejrzaných śladów.

Począwszy od 25 listopada zaczął autor za zgodą medium dokonywać zdjęć fotograficznych zjaw mediumicznych. Pierwsze zdjęcie pokazuje nam nieregularne kłęby jakiejś materii wychodzącej z ust i z rozmaitych otworów ciała w postaci pasów, sznurów, wstążek. Oto jak opisuje autor powstawanie i bliższe szczegóły tych fenomenów na posiedzeniu z 17 maja 1916. „Medium zażądało, abym wszedł do gabinetu. Przy otwartej zasłonie ukląknęłam po jej prawej stronie, ta, że moja głowa była na wysokości jej głowy, moje obie ręce trzymały jej prawą ręką, jej lewa ręka uj-

mowała skrzydło zasłony po tejże stronie. Głowa medium była zwrócona w lewo. Wśród głębokich wzdychań i kurczowych naprężeń mięśni utworzyło się bezpośrednio przed moimi oczyma duże pasmo lekkiej substancji, które jakoby wychodziło z jej ust, powiększało się i zagęszczało. Utwór ten mógłby być szeroki na 5-4 cm i długi na 40-50 cm. Zbliżyłem głowę na ok. 15-20 cm i widziałem jak ta masa leniwie się poruszająca i wyglądająca jak zwitek najdelikatniejszego szarego, prążkowanego welonu powoli opadała. Zjawisko zniknęło za zasłoną oddzielając się powoli od ust.

Po małej pauzie zjawisko to powtórzyło się z tą zmianą, że cała głowa medium była okryta tą zasłoną, tak że nie mogliśmy dojrzeć rysów twarzy, jakkolwiek była ona przed zasłoną na widoku. Podczas tego ręce medium trzymałem ja i dr V. Po zniknięciu zjawiska badałam twarz medium, która była całkiem mokra i pokryta jakby śluzem.

W dalszych seansach widzi i fotografuje autor liczne ręce lub zjawy do rąk wychodzące z głowy, ust i piersi medium. W jednym wypadku autor prosił medium, ażeby zechciało udzielić mu trochę tej materii, która służy do wytwarzania fenomenów. Medium zgodziło się. Oto jak opisuje autor ów moment schwytania substancji: "Podczas gdy ręce medium kurczowo trzymały się skrzydeł zasłony i były zupełnie widoczne zbliżyłem w wysokości około 80 cm ponad jej prawą ręką pudełko porcelanowe, które trzymałem prawą ręką. W chwili zbliżenia widzą wszyscy obecni jak trzy zupełnie wykształcone palce wychodzą a zasłony i dotykają pudełka. Palce te uchwyciły pudełko z jednej strony i potrząsały nim kilka razy. Z tego momentu skorzystałem, aby pokrywkę przymknąć i pudełko schować do kieszeni. Po oglądnięciu pudełka przy elektrycznym świetle później znaleźliśmy po jego wyższej stronie jakby przylepione dwa kawałki, które rozpoznano przy mikroskopijnym badaniu jako cząstki ludzkiej skóry. Żadnego defektu skóry nie można było znaleźć ani na rękach ani na nogach dziewczęcia).

Podczas seansu dnia 1 listopada 1910 r. masa wydzielająca się sznurkami z medium dotykała wszystkich obecnych. Następowaly także delikatne uderzenia tą substancją, jakby cieniutkim biczkiem. Za jednym z takich uderzeń autor uchwycił ten delikatny, jakby z kauczuku zrobiony wilgotny sznur. Ten jednak węzowym ruchem wyrwał się z rąk, przy czym przerażone medium wydało okrzyk bólu.

W miarę posiedzeń zjawy stawały się coraz konkretniejsze i wyrazistsze. I tak zwyczajnie ukazywały się na głowie lub obok głowy medium białe zawoje i chustki, z których wyłaniały się twarze kobiece owinięte tą materia, jak w ramach. Niektóre z nich bardzo piękne, o żywych oczach i silnie uwydatnionym charakterze rysom. Podczas posiedzenia z dnia 2 listopada 1911 r. udało się p. Bisson (za zgodą medium) uciąć pukiel włosów takiej zjawy, co było połączone z okrzykiem bólu u medium i zniknięciem zjawy. Dokładna analiza tych włosów wykazała, że są one zupełnie różne od włosów Ewy. Mikrofotogramy włosów Ewy i „Estelli”, tak kazała się nazywać „dama”, reprodukowane w dziele całą tę różnicę uwydatniają. Dodać trzeba też to, że kontrola przed i po seansie jest coraz surowsza, ręce zawsze widoczne, względnie ręce i nogi medium trzymają osoby biorące udział w eksperymentach. Ilość aparatów fotograficznych została zwiększona; w samym gabinecie Ewy za zasłoną ustawiono dwa aparaty stereoskopowe, które pozwalają ująć zjawę na płycie ze wszystkich stron.

W wysokim stopniu niezwykle fenomeny zaszły na posiedzeniach z dn. 10 i 11 września 1911 r. w St. Jean de Fui, dokąd Ewa udała się z panią Bisson na wczasy letnie. Świadkiem tych zjawisk była sama p. Bisson, co do której wiarygodności nie mamy powodu wątpić. Analogiczne zresztą wypadki stwierdza później z autopsji i sam autor. Oto co pisze p. Bisson w liście do doktora S.-N.: „Dziesiątego września Ewa mi zaproponowała, ażeby sama z nią robiła eksperymenty, ponieważ dziś się czuje doskonale. Uśpiłam ją o 8:45 i natychmiast po zapadnięciu w hipnozę zaczęło się charakterystyczne rżenie i dziwnie zmaterializowany kształt okazał się na lewym ramieniu medium jeszcze zanim zawarła zasłonę. Siedziałam przed gabinetem.

Materia oddzieliła się od ramienia Ewy i biała płachta poruszała się po czarnym tle gabinetu. Przez ten czas trzymałam ręce Ewy. Później Ewa otworzyła firankę bardzo szeroko i ujrzałam w głębi gabinetu jakieś 50 cm od głowy Ewy coś jakby twarz, która się na mnie patrzyła. Liczę 70 sekund i zjawą się nie porusza. Ręce Ewy ciągle w moich rękach.

Ewa widocznie przyciągnięta fenomenem wyprostowuje ramię (z moją ręką) w kierunku zjawy, która zniknęła, wydaje gwałtowny okrzyk i popada w omdlenie przed moimi oczyma. Później mi powiedziała, że

materializacja została powstrzymana przez zbyt silnie wpadające światło, że materia zbyt gwałtownie cofnęła się w głąb jej ciała, wskutek czego zrobiło się jej tak niedobrze, że straciła przytomność. Zamknęłam więc zasłonę stale trzymając ręce Ewy i pozwoliłam jej wypocząć.

Całkiem powoli otwiera się na nowo zasłona i spostrzegam znów głowę w tyle gabinetu obok głowy Ewy. Przez 10 sekund nie rusza się zjawia. Później zmaląa i znikła powoli.

Nagle Ewa żąda ode mnie, abym szybko rozpruła szwy; zdziera z siebie majtki trykotowe i odzienie i siedzi przede mną całkiem naga.

Teraz zaczęła się dla mnie seria nadzwyczajnych zjawisk.

Na nagiej piersi zjawiła się płaska, duża ciemnoszara plama, biała na zewnętrznych brzegach, trwała jakiś czas i zniknęła w okolicy pępka. Widziałam dokładnie jak tam została wchłonięta.

Zasłona znowu była jakiś czas zamknięta, przy czym jej rąk nie puszczałam. U otworu firanki ukazała się na nowo biała plama, mianowicie na jej ciele i to tego samego kształtu co poprzednio, tylko trochę większa. Z plamą tą był złączony po lewej stronie brzucha duży ciemny kulisty otwór, w środku biały, po obu brzegach ciemnoszary. Liczę przy otwartej zasłonie 22 sekundy; nagle materia kurczy się na jej ciele pod kątem prostym do osi ciała i tworzy szeroką wstęgę od biodra do biodra, rozszerzając się pod pępkiem. I to zjawisko zwija się i znika w pochwie.

Medium otwiera na moje życzenia uda i widzę jak materia przybiera dość dziwaczny kształt orchidei i powoli się zmniejszając wchodzi do pochwy. Podczas całego tego procesu trzymałam jej ręce. Ewa teraz oświadczyła: *Poczekaj trochę, spróbujemy ułatwić przejście*. Podnosi się, wstępuje na fotel, siada na poręczu podczas gdy jej nogi spoczywają na siedzeniu. Otwiera nogi. Przed moimi oczyma przy otwartej zasłonie wychodzi z jej pochwy masa o kształcie dużej kuli i przecięciu około 20 cm i sadowi się z wielką szybkością na górnej części jej uda. Rozpoznaję w tej masie nie- zbyt jeszcze wyraźną twarz, której oczy na mnie spoglądają. Gdy się jeszcze bardziej schylam, aby lepiej widzieć podnosi się głowa przed moimi oczyma i ulatuje nagle od medium w cienie gabinetu, niedostępna moim oczom. Znowu medium popada w omdlenie”...

Bardzo dziwne fenomeny zdarzyły się też w obecności samej p. Bisson w Paryżu w grudniu 1911 r.

Oto dosłowny cytat z protokołu:

„Zaledwie Ewa została przez panią Bisson uśpiona, gdy zaczęła wydawać rżące i chrapliwe dźwięki wydechowe. Teleplastyczne akty rozpoczęły się natychmiast.

Ku memu największemu zdziwieniu ujrzałem twarz pana Bisson, męża mojej znakomitej współpracowniczki, który w styczniu 1912 r. umarł. Twarz ta była jakby naszkicowana czarną kredką na płaskim podkładzie, udrapowana w welonie jak na zjawach dawnych obserwacji. Jakkolwiek zauważyłem, że obecna tam pani Bisson natychmiast rozpoznała swego męża i okazała głębokie wzruszenie, nie byłem pewny mego wrażenia i liczyłem się z możliwością złudzenia. Skoro twarz na nowo się ukazała zapaliłem trzykrotnie proszek magnezjowy przy pomocy elektrycznego kontaktu i otrzymałem ogółem z trzech aparatów dziewięć zdjęć. Pani Bisson twierdziła w każdym razie, że przy pierwszym zdjęciu rozpoznała dwie głowy, jedną męską i jedną kobiecą, co się przy wywoływaniu płyt okazało prawdziwe.

Obrazy przypominają maski, skomponowane przy pomocy sztuk plastycznych, w zręcznym udrapowaniu welonem, bez śladów rzeczywistego życia, jednak z całym podobieństwem portretowym. Przy tym nie można było skonstatować ponad wszelką wątpliwość żadnej plastyki rysów twarzy, a podkład obrazu zdawał się mieć podobieństwo z papierem.

Pomimo trzykrotnych zdjęć fenomeny dalej się rozwijały. Teraz zjawił się twór na jej lewym [ramieniu], Ewa oświeciła go najpierw czerwoną, a potem białą lampką elektryczną. Tymczasem obraz, na którym rozpoznałem wyraźnie męskie brodate oblicze z wysokim czołem, nie wytrzymał strumienia światła i zniknął za oparciem fotela Ewy w kierunku ściany tylnej gabinetu (przy czym Ewa nie zmieniła położenia swej ręki).

Ponieważ obserwowałem obraz począwszy od pleców dokładnie, więc teraz nie spuściłem go z oczu, tylko powstałem, wsunąłem głowę głęboko do gabinetu, pochylając się nad siedzącą spokojnie Ewą, mając zasłone zamkniętą nad moją szyją. W ten sposób padł ponad moją głowę promień światła na tylną ścianę gabinetu, nie drażniąc medium. Męska twarz stała teraz przede mną *en face*, niby portret wielkości naturalnej umocowany na tylnej ścianie. Portret ten wytrzymał na świetle około 6 sekund, obrócił się wokół własnej osi płasko przy ścianie, górna

część twarzy padła ku dołowi i wszystko zniknęło w kierunku podłogi (za plecami medium) bez śladu.

Podczas tej całej obserwacji ciało Ewy było nieruchome i kontrolowane przeze mnie. Obraz był zupełnie od niej oddzielony. Poruszenia i zniknięcie następowały jakby wywoływano je przez nieruchomą siłę.

Ewa czuła się źle po posiedzeniu i nowej skrupulatnej rewizji, wymiotowała kilkakrotnie krwią i miazgą żołądkową. Również skarżyła się na ból głowy. Stan wyczerpania trwał kilka dni”.

Autor był zawsze obecny przy wywoływaniu płyt: pierwsza i druga seria pokazały dwa oblicza jedno nad drugim, jedno męskie a pod nim niewieście, trzecia seria tylko męską twarz. Uderzające podobieństwo męskiej twarzy ze zmarłym pisarzem Aleksandrem Bisson było natychmiast widoczne. Próbkę przesłane codziennie zostały przez wszystkich członków rodziny i przyjaciół nieboszczyka rozpoznane jako portrety p. Bissona w wieku 38 lat. Ewa omdlała, gdy ujrzała te obrazy.

Twarz kobieca pod p. Bisson, której głębsze cieniowanie przypomina plastyczne modelowanie ma regularniejsze, ładne rysy; jej wyraz można by uważać za sztywny.

Są to widocznie jakieś płaskie obrazy udrapowane welonami, artystyczne rzuty, rysownicze szkice, zbladłe, zamazane rysunki węglem lub gliną, w żadnym razie jednak nie zdjęcia z natury lub reprodukcje fotograficzne, jakkolwiek portrety same są ujęte naturalnie. Niezależnie od tego, że po p. Bissonie nie pozostały absolutnie żadne fotografie albo rysunki do połowy *en face* o takim wyrazie i postawie jak nasze obrazy, również szkicowość w rysunku i błędy w subtelniejszym modelowaniu twarzy przemawiają przeciwko użyciu fotografii.

Tak np. nawet bardzo kiepska fotograficzna reprodukcja nie mogłaby linii okularów oddać tak nieregularnie i połowicznie jak na naszych obrazach. To samo można powiedzieć o innych szczegółach, np. artystycznym ujęciu brody, oczodołów, czoła itd. Pomimo oczywistych błędów rysunkowych, żadna z dotychczasowych fotografii nie prześcignęła żywości i wymowy wyrazu oczu. A te uduchowione, pełne życia oczy były charakterystyczną cechą fizjonomii p. Bisson.

Może więc artystycznej inteligencji chodziło właśnie o to, ażeby tylko tyle cech charakterystycznych wlać w tę twarz, ile potrzeba, aby

być poznanym, a resztę rzeczy niepotrzebnych stosownie do zasady najmniejszego wysiłku oszczędzić. W ten sposób dałoby się wyjaśnić tę impresjonistyczną tendencję sprzeczności pomiędzy żywym wyrazem twarzy z jednej strony, a niedokładnościami i brakiem szczegółów z drugiej strony.

Rezultat posiedzeń z 1 lipca 1912 r. można uważać za jeden z najbardziej interesujących wyników naszej czteroletniej obserwacji. Stoimy tu przed faktem, że przez medialne działanie rysy twarzy zmarłego zostały w portretowy sposób zrekonstruowane.

Na posiedzeniu z dn. 24 czerwca rozpoznała pani Bisson w twarzy, która się pokazała rysy swego zmarłego siostrzeńca, Jerzego Thurnera. Udało się jej utrwalić je na płycie fotograficznej. Autor nie był obecny na tych seansach. W piśmie z 1 lipca pisze ona o tym wypadku co następuje:

„Pokazałam wczoraj mej siostrze (matce Jerzego), nie zawiadamiając jej o tym ani nie robiąc żadnej uwagi – swą fotografię z 24 czerwca.

Wrażenie, jakie ona zrobiła na niej, było nadspodziewanie bardzo gwałtowne. Zawołała:

– Jerzy, mój kochany synu, to ty jesteś, mój Boże, mój Boże jakie to jest dziwne i straszne zarazem.

Potem zalała się łzami”.

Na jednym z dalszych posiedzeń pokazała się znowu zjawa p. Bisson, tylko w dwóch trzecich wielkości naturalnej, co autor uważa za bardzo wybitny i godny uwagi akt mediumiczny.

30 listopada 1912 r. zjawia się głowa kobieca niezwykle piękności: typ prześlicznej młodej Angielki. Wszystkie te twarze mają jedną charakterystyczną cechę: są dwuwymiarowe. Stereoskopiczne zdjęcia z kilku stron stwierdzają to dokładnie. Ma się więc wrażenie, jakby to były niezwykle malowidła na materii czy kartonie, ale o żywości i blasku oczu, których żaden malarz nie zdołałby naśladować. „Posiedzenie z dnia 5 stycznia 1913 r. (czerwone światło o sile stu świec) – pisze autor - na którym pani Bisson sama operowała z nagim medium, przynosi tego rodzaju postęp, że po raz pierwszy udało się sfotografować teleplazmę na nagim ciele medium. Również podczas tego posiedzenia ręce nie opuszczały zasłony i były od początku do końca tak kontrolowane, że Ewa nie mogła się nimi posługiwać”.

Według opowiadania pani Bisson zjawiła się sfotografowana materia, w okolicy pępka poruszała się jak żywy gad w serpentynowych zakrętach albo skokami po ciele do góry; nagle powstało nitkowate połączenie pomiędzy ustami medium a materią. W tej chwili zapalono światło błyskawiczne. Materia sama przypomina skórną substancję pochodzenia intestinalnego i składa się widocznie z licznych węzłów, strzępów i pasem. Pomimo zakłócenia, dokonanego przez światło błyskawiczne ta masa teleplastyczna nie zniknęła, tylko umocowała się dwoma węzłami, które się utworzyły z tej substancji na obu brodawkach piersiowych Ewy, łącząc się z pępkiem trójkątną siatką.

Bezpośrednio po drugiej fotografii odstąpiła pani Bisson w tył, aby zamknąć aparaty; w tej chwili podniosła się Ewa przerażona tym zakłóceniem, jeszcze pokryta materią, wyszła z gabinetu i padła omdlała w ramiona p. Bisson. W tej samej chwili masa zniknęła. Medium powoli przy pielęgnacji swej opiekunki przychodziło do sił.

Jedno z posiedzeń przyniosło nowy dokument psychologiczny.

Oto udało się autorowi ująć w pudełko trochę owej tajemniczej materii tym razem w formie płynu. Płyn ten po rozbiorze okazał się jakimś śluzem, podobnym w składzie chemicznym do śliny, lecz nieco od niej różny. Brakowało mu bowiem w ślinie zwyczajnych cząstek rozpadu komórek.

Posiedzenie z dnia 23 lutego 1913 r. przynosi nowy postęp w materializacji. Ewa zażądała w transie, aby ją zupełnie rozebrano. I oto ukazał się fantom przedstawiający mężczyznę w całej postaci, o twarzy ascety lub Chrystusa (z banalnych reprodukcji). Mężczyzna ten był odziany w długi biały płaszcz, ręce miał skrzyżowane na piersiach. Twarz jest skończona bez fragmentów i strzępów, jak to się spotyka na poprzednio reprodukowanych głowach. Długi owalny kształt oblicza, wysokie, wąskie czoło, szeroki, długi, dobrze rozwinięty nos, długa broda spiczasta i staranny wąs, jak też lewe ucho, wszystko to można bardzo dokładnie zauważyć na fotografii. Postać ta zjawiała się jeszcze kilkakrotnie.

Na seansie z 16 maja 1913 r. Ewa miała głowę (jak na wielu innych posiedzeniach) obwiązaną bardzo silnym i gęstym woalem, zszytym z suknią i majtkami. Pomimo to z jej ust wyszła (jak to widzimy na kilku zdjęciach) substancja w postaci jakichś włókien, u których końca był zawieszony duży męski palec.

Na tych fenomenach skończyły się posiedzenia z Ewą C., które przyniosły istotnie wiele interesującego materiału. Szczupłą część książki obejmują doświadczenia ze Stanisławą – Polką z Warszawy – odbywane w Monachium, która jednak ze względów wstydlivosti nie pozwalała na dokładną rewizję, taką, jaką urządzono u Ewy C. Fenomeny zauważone u tego medium odpowiadają początkowym stadiom doświadczeń z Ewą C. Są to taśmy, sznury itp. utwory, wychodzące z ust medium poprzez woal, w którym tkwiła głowa. Widzimy je również na licznych zdjęciach fotograficznych. Ciekawe jest tu zastosowanie kamery filmowej. Na dwóch stronach mamy reprodukcje kilkudziesięciu filmów, które odtwarzają nam ewolucję fenomenów.

W osobnej części książki, zatytułowanej: „Rzut oka wstecz”, zajmuje się autor krytycznym rozbiorem owych mediumicznych faktów. Stwierdza, że należy wykluczyć jakiekolwiek podkładanie fałszywych płyt fotograficznych, ponieważ autor stale miał je pod kontrolą; tym samym upada teoria złudzenia, jakiemu by mogli podlegać uczestnicy wobec tak niezbiętej wymowy aparatu fotograficznego.

Również należy wykluczyć przemycanie jakichkolwiek przedmiotów przez medium. Podczas wszystkich posiedzeń panowało czerwone światło i te coraz jaśniejsze, tak że przy końcu miało one natężenie 100 świec. Również kontrola medium była coraz surowsza. Usta, nos, uszy, włosy, anus, vagina, ubranie były dokładnie badane. Od 1913 r. Ewa pozostawała jedynie w majtkach. Otóż rezultat czteroletniej najstaranniejszej kontroli był stale negatywny. Nie ma więc według największego prawdopodobieństwa wątpliwości co do uczciwości medium. Tak więc zrobiono wszystko co było w ludzkiej mocy, ażeby nie dopuścić do oszustwa.

„Może kto autorowi zarzuci (pisze S.-N.), żeśmy materii nie schwyłali (w całości) i nie starali się w gwałtowny sposób rozwiązać tej kwestii. Na to odpowiem co następuje: Jedna próba zdemaskowania podjęta w Monachium nie udała się. Dr Kafka (obecny na posiedzeniu) próbował pochwycić szarą substancję z szyi medium. Substancja zniknęła, a następstwem tej próby było kilka ciężkich omdleń, kilkudniowa choroba, i instynktowna półroczna niechęć do produkcji, która długo jeszcze na posiedzeniach działała ujemnie. Zresztą nawet gdyby się udało otrzymać trochę tej substancji, to kto wie, czy dałoby się ją zachować bez zmiany.

Materia ta, zdaje się, jest nietrwała na świetle, łatwo zmienia się w płyn lub gaz. Liczne ślady na odzieniu w kierunku ust i genitaliów były zawsze płynne. Sprzeciwia się to jednak faktowi, że udało się otrzymać włosy. Być może jednak, że chodzi tu o wypadek aportu”.

Omówiwszy kwestię ruchów plazmy mediumicznej, według autora bardzo zagadkową, przechodzi S.-N. do zagadnienia kształtów. Oto jego uwagi:

„Z materii białej i półpłynnej powstają kawałki, wypustki, wyrostki i dziwaczne kształty o wyglądach liści, kwiatów (np. orchidei) i niższych istot żyjących, takie, jakie spotykamy w przypadkowych igraszkach przyrody. Samo w sobie to zjawisko nie jest dziwniejsze niż odrastanie głowy u robaków anelidów po dwunastokrotnym odcięciu, albo nowotwory u planariów i salamandry. Są to tak zwane pseudopodia.

Obok tych wypustek widzimy lepiej wyróżnione kształty o szkicowanych rysach rąk i palców. Wyglądają one nieraz jakby były zrobione z białego papieru. Jednak badanie mikroskopijne fotografii nigdy nie wykazało charakterystycznej struktury papieru, czy jakiegokolwiek innej materii. Jest to jakaś substancja ziarnista. Zupełnie to samo da się powiedzieć o głowach i całkowitych postaciach. Czasem są to tylko fragmenty z przednią częścią, czasem mają one także kawałek czaszki i tył niezupełnie rozwinięty.

Robi to takie wrażenie, jakoby siła twórcza starała się najmniejszymi środkami osiągnąć największy efekt”.

Nie da się też wykluczyć, zdaniem autora, faktu wpływu wyobrażeń medium i uczestników na powstawanie głów i postaci. Są to reprodukcje rzeczy i osób widzianych przez nich. Pan Bisson należał do codziennego towarzystwa medium, jak również ów kuzyn p. Bisson, którego śmierć zrobiła na Ewie C. tak wielkie wrażenie. Inne osoby, reprodukowane później w przestrzeni, musiały również utkwąć w podświadomej lub nawet świadomej pamięci medium lub uczestników.

W zakończeniu zapytuje się autor, co te wszystkie tak dziwne fenomeny znaczą. „Czy te zmiany w żyjącej substancji, którą nazywają teleplazmą są spowodowane przez znane siły chemiczne i fizyczne? Czy teleplastyczna materia składa się równie jak żyjąca substancja w swej prymitywnej formie także z koloidalnego i krystaloidalnego roztworu, jak to się ma z żyjącą materią w myśl dowodów Thomasa Grahama? Czy także w teleplazmie

podobnie jak w protoplazmie chemiczne czynniki dokonują przy pomocy najdelikatniejszych membran czynności asymilacji i dysymilacji, czym się tłumaczą zjawiska wzrostu? Czy ich spontaniczne ruchy, zmiany kształtów dadzą się porównać z ruchami ameby limax, która ze swej bezkształtnej masy bez struktury wysuwa części podobne do podeszwy i [...] wykonuje pełzające ruchy. Czy chodzi może w procesach materializacji o przejściowe twory, o chwilową i szybko rozpadającą się budowę wielokomórkowych organów i organizmów, których egzystencja jak u wszystkich wyższych istot jest zależna od ruchu, pożywienia, wzrostu i rozmnażania?

Czy wobec problemu materializacji da się w ogóle utrzymać racjonalny, pozytywistyczny punkt widzenia?

Nawet przyjęcie witalizmu albo biologicznej energii jako działającego precedensu nie daje wystarczającego tłumaczenia. Opis nie jest tłumaczeniem. Także i wiedza przyrodnicza wykrywa szeregi przyczyn i podaje zmiany jako działanie pewnych przyczyn. Jak jednak z przyczyny powstaje skutek, nie wiadomo. Już spadający kamień jest w tym sensie dla nas cudem, gdyż my nie wiemy, jak to ziemia się do tego zabiera, aby kamień przyciągnąć.

Tak też nie wiemy, czym jest energia, której działanie spostrzegamy.

Ale wszystkie otaczające nas i codziennie się spełniające cuda odbywają się w myśl pewnych praw, podczas gdy fenomeny w tej książce opisane zdają się być poza nimi o tyle, że dziś nam jeszcze nie jest dane ustalić ich związku ze znanym nam porządkiem natury.

Przy tak uderzającej sprawności fizykalnych wyników mediumizmu z danymi ścisłej wiedzy przyrodniczej jest zrozumiałe jeżeli poważni badacze raczej przyjmują, że media z pomocą pomalowanych kawałków papieru świat duchów w szarlatański sposób wywołują, niż jakoby tu chodziło istotnie o rzeczywiste fakty.

Gdyż wiedza jeszcze nie dość wielkie zrobiła postępy, ażeby bez wielkich trudności móc zasymilować te nowe nieprawdopodobne, ale jednak autentyczne wyniki obserwacji. Ale nie jest to jeszcze racja, ażeby tym faktom odmawiać wszelkiego interesu.

Może znajdzie się prędzej czy później badacz, który uzna za wskazane zająć się poważnie problemem mediumistycznym i zbadać materiał zawarty w dziele.

Ale czy mu się uda zbliżyć się ku rozwiązaniu tej niezwyklej zagadki i zadowolić swą żądzę wiedzy? Albo może i on, jak wszyscy badacze dotychczas, którzy próbowali podnieść cokolwiek zasłonę, zakończy swe dzieło okrzykiem: „Ignoramus” i na nowo rzuci pytanie Keplera: *Czy może cały dotykalny świat jest tylko powłoką niewidzialnego świata sił?*



Automatyczne pismo i rysunek (instrukcje i wskazówki)

Prosper Szmurło

*Artykuł ukazał się w kwartalniku „Zagadnienia Metapsychiczne”
(XII, 1925, nr 7-8)*

Niektóre zdolności metapsychiczne nie są bynajmniej tak rzadkie, jak się to pozornie wydaje i wielu z nas może je posiadać, nic o tym nie wiedząc, gdyż nie zdarzyły się jeszcze okoliczności, przy których mogłyby się one przejawiać.

Do takich zdolności należy między innymi rysunek i pismo automatyczne, to jest wykonywane bezwiednie, aczkolwiek nie tracimy wtedy świadomości, jak to bywa w transie lub w głębszym śnie hipnotycznym albo magnetycznym.

Dla ujawnienia owych, niezmiernie niekiedy ciekawych i cennych zdolności należy robić próby z samym sobą, a nie czekać biernie, aż przejawiają się one samorzutnie, co może i nigdy nie nastąpić.

Dla ułatwienia czytelnikom dokonywania takich prób, postaramy się [...] zamieszczać odpowiednie rady i wskazówki.

Co do pisma lub rysunku automatycznego będą one następujące:

1. Usiądź codziennie na 10-20 minut przy stole lub biurku, na którym powinien być uprzednio umieszczony (najlepiej na bibule) duży arkusz białego papieru, przymocowany pluskiewkami lub w inny sposób dla uniknięcia suwania się; prawą ręką ująć, mniej więcej za środek, czarny miękki ołówek i oprzeć go ostrzem pionowo na papierze, nie za mocno jednak i nie za lekko, ale tak jak

- przy pisaniu. Ręka podczas początkowych prób w żadnym wypadku nie powinna być o nie oparta, jeżeli jednak potem sama opadnie lub zmieni pozycję, nie trzeba się temu sprzeciwiać.
2. Uwaga oraz wzrok osoby dokonującej prób powinny być odwrócone od papieru, ołówka i ręki i skierowane na coś innego, na przykład na czytaną wtedy książkę, słuchanie czyjegoś opowiadania, prowadzoną ożywioną rozmową itp., choćby się odczuwało, iż ręka zaczęła już coś kreślić.
 3. Otrzymane rezultaty można obejrzeć tylko wtedy, gdy się poczuje silne zmęczenie, lub gdy ręka, choć jeszcze nie zmęczona przestanie pisać, albo gdy cały arkusz zostanie już zapisany; w ostatnich wypadkach po przeczytaniu tekstu doświadczenie można kontynuować dalej. Dobrze jest czasami, jeżeli ktoś z obecnych śledzi za tym, ażeby się nie pisało wiersz na wierszu i w tym celu odpowiednio przesuwano papier lub ramię piszącego.
 4. Gdyby kilka prób nie dało żadnych rezultatów, można wtedy prosić kogoś ze znajomych o lekkie magnetyzowanie ręki, trzymającej ołówek, pociągami od ramienia ku palcom. Dopomaga też niekiedy, jeżeli ktoś z obecnych dotyka piszącej ręki lub lekko kładzie swoją na jej przedramieniu, co czasem wywołuje pismo automatyczne, mogące być w tym wypadku nazwane indukowanym. Jeżeli u kogoś zdolności do pisania automatycznego już się dostatecznie rozwinęły, wskazane jest wtedy dokonywanie od czasu do czasu tego rodzaju prób (to jest z udziałem drugiej osoby) dla skonstatowania, czy i jaki wpływ wywrze to na pismo. Można też wtedy próbować pisma w ciemności lub lewą ręką oraz badać działanie nań słuchanej podczas doświadczenia takiej lub innej melodii. Ciekawe też byłoby zbadanie możliwego wpływu pory dnia lub roku, a także księżyca, koloru światła, aromatów itd.
 5. Dla zobrazowania stopniowego rozwoju zdolności do pisma automatycznego, pożądane jest numerowanie używanych do pisma arkuszy papieru, zaopatrywanie ich w daty oraz adnotacje, jak długo trwało doświadczenie, po ilu minutach od jego początku zaczęły się ruchy i inne uwagi.

6. Nie należy obawiać się zdarzającego się czasem zeszywnienia palców lub nawet całej piszącej ręki, gdyż minie ono samo po skończonym pisaniu lub rysowaniu bez żadnej szkody dla zdrowia i jest nawet pożądane, bo jakby neutralizuje zmęczenie, pozwala przez to na dłuższe doświadczenia i może być poniekąd uważane za jeden ze wskaźników medialności.
7. Wszystkie powyższe wskazówki dotyczą głównie prób początkowych, bo gdy się owa zdolność rozwinie, można trzymać rękę opartą normalnie jak przy zwykłym pisaniu i śledzić za tym, co się pisze.

Przebieg początkowych prób bywa zwykle następujący. Po kilku lub kilkunastu minutach zawieszona w powietrzu bez oparcia ręką zaczyna się męczyć, drgać, trzymany zaś przez nią ołówek kreśli na papierze jakieś kółka i esy floresy. Nie należy się tym zrażać, gdyż przy drugiej, trzeciej, piątej niekiedy, zależnie od zdolności, a nawet przy trzydziestej próbie z nic nieznaczących zygzaków wyłania się jakaś litera, cyfra lub rysunek, potem kilka liter, wyraz, całe zdania, niekiedy nawet były napisane automatycznie całe poematy, nowele i powieści, te ostatnie, oczywiście nie od razu, lecz w przeciągu szeregu dni po godzinie lub parę dziennie. To samo mniej więcej dotyczy i rysunku automatycznego, który od nieudolnego, jakoby dziecinnego, może stopniowo dojść do artystycznego nawet u osób wcale świadomie nieumiejących rysować.

Gdy u kogoś po szeregu prób pismo automatyczne należycie się rozwinie, wtedy warto przystąpić do analizy napisanej treści, która bywa bardzo różnorodna. Czasem jest taka, jaką mógłby świadomie napisać dany osobnik, czasem przewyższa jego zdolności normalne, niekiedy zaś sprawia wrażenie, jakby była inspirowana przez zupełnie inną osobę.

To samo można powiedzieć i o samym charakterze pisma automatycznego, który bywa bądź identyczny z charakterem piszącego, bądź mniej lub bardziej zmodyfikowany, bądź wreszcie zupełnie odmienny, niekiedy nawet łudząco podobny do pisma osoby zmarłej, nieznanej piszącemu.

Przy pomocy pisma automatycznego otrzymuje się często odpowiedzi na zadane głośno lub myślowo zapytania, rady, wskazówki, ostrzeżenia, przepowiednie zdarzeń przyszłych, komunikaty, niekiedy utwory literackie, wiersze – choćby dana osoba wcale zdolności poetyckich nie



posiadała, czasem zaś treść bywa dziwaczna, niezrozumiała i zupełnie nieoczekiwana.

Do najciekawszych objawów należy zaliczyć pismo w językach mało znanych lub nawet wcale nieznanymi piszącemu, archaiczny styl, jakby odzwierciedlający dawno minioną epokę, kreślenie znaków runicznych, hieroglificznych lub zaczerpniętych z alfabetów języków martwych, używanych w zamierzchłej przeszłości, niekiedy wcale nawet nieistniejących i jakby stwarzanych przez samego piszącego, jak to miało miejsce z Fryderyką Hauft, zwaną „Jasnowidząca z Prévost” oraz z Heleną Smith z Szwajcarii, która pisała w języku rzekomo marsjańskim.

U niektórych za pośrednictwem pisma automatycznego przejawia się jasnowidzenie w czasie i przestrzeni. W literaturze przytoczone są wypadki, gdy ktoś (jak np. Slade), pragnąc dowiedzieć się, gdzie np. znajduje się w danej chwili jakaś interesująca go osoba i co porabia, brał do ręki ołówek i automatycznie otrzymywał szczegółowe co do tego wskazówki, które po sprawdzeniu okazywały się zgodne z rzeczywistością.

Widzimy więc, jak obfity, różnorodny i ciekawy materiał do badań może nam dać pismo automatyczne, mogące też mieć i cenne zastosowanie praktyczne, o ile za jego pośrednictwem ujawni się u kogoś wspomniane wyżej jasnowidzenie.

Przytaczanie hipotez dla wyjaśnienia tej dziwnej zdolności i roztrząsanie kwestii, czy działa tu wyłącznie tylko zaświadość piszącego, czy może też i jakaś obca nań inteligencja, na przykład duch osoby zmarłej, nie wchodzi już w zakres niniejszego artykułu, celem którego jest tylko udzielenie pewnych rad praktycznych.

U szeregu osób, którym poradziłem dokonywanie prób stosownie do wyżej przytoczonych wskazówek, wynik był dodatni. Jedna z nich nawet pisała pismem automatycznym w sześciu językach oraz kreśliła znaki podobne do pisma klinowego, większości jednak brakło wytrwałości, żeby ową zdolność nadal w sobie rozwijać.

Sądzę, że gdyby wszyscy, którzy przeczytają niniejszą instrukcję, rozpoczęli próby i mieli wytrwałość, wtedy znaczny z nich odsetek otrzymałby rezultat pozytywny.

Mam nadzieję, że osoby, które się tym zajmą, zechcą następnie zakomunikować do redakcji o ilości dokonanych prób, czasie ich trwania, wynikach, ewentualnie przysłać próbki swego automatycznego pisma lub rysunku.



Medytacja

Piotr Kostórkiewicz

Medytacja, taka jaką znam, jest wzorowana na medytacji praktykowanej w zen soto. Zen to nurt buddyzmu, a wyraz ten pochodzi z języka japońskiego. Zen jest praktykowany w wielu krajach Dalekiego Wschodu, różne są więc jego nazwy w poszczególnych językach, ale na Zachodzie przyjęło się go nazywać właśnie zen. Soto zaś to jedna ze szkół zen. Inną szkołą zen jest np. rinzai (albo: rinzai).

Medytacja to nie teologia tylko praktyka. Dawno temu medytacja była praktykowana w chrześcijaństwie, judaizmie oraz islamie. Medytacja to nie to samo co buddyzm.

Medytacja, którą praktykuję, polega na obserwacji emocji i myśli bez wiązania się z nimi. Skupiam się na oddechu, mogę go nawet liczyć, ale za każdym razem, kiedy pochłonie mnie jakaś emocja czy myśl, zaczynam od nowa.

Dzięki medytacji wiem, że jestem sobą, a nie tym, któremu wmówiono że ma być taki, a nie inny. Medytując widzę, że emocje i myśli są przechodniami, gośćmi, ale gospodarzem jestem ja.

Na początku przeważają emocje i myśli płytkie, dotyczące spraw codziennych. Później pojawiają się te głębsze. Niektóre przypominają wybuch wulkanu.

Medytacja jest doświadczeniem w pierwszej kolejności emocjonalnym, trzeba ją przeżyć samemu. Nie rozumiałbym niczego z medytacji, gdybym nie zaczął jej praktykować.

Do dziś zadziwia mnie, jak wiele może dać kwadrans medytacji dziennie. Na początku zresztą to nie jest kwadrans, zaledwie kilka minut. A później przychodzi czas na medytację w ruchu, np. przy myciu naczyń, goleniu, myciu zębów, staniu na przystanku itp.

Czy medytacja jest stratą czasu? Jeżeli jest, to w takim znaczeniu jak np. codzienna gimnastyka. Ani jednego, ani drugiego nie musimy wszak wykonywać. Ale jedno i drugie jest dla nas korzyścią. Dla nas i dla innych, przecież odnosząc się z szacunkiem do siebie uczymy się szacunku dla innych.

Medytując nie dowiedziałem się, co będzie po śmierci doczesnej. Myślę, że w wielu religiach i wyznaniach widać, że człowiek z jednej strony domyśla się, że czeka go jakaś przyszłość po śmierci doczesnej, a z drugiej strony nie wie, co to będzie.

„Kiedy mędrzec wskazuje palcem na Księżyc, mądry uczeń spogląda na Księżyc, głupi uczeń zaś patrzy na palec”.

Medytacja daje pewność, że coś po śmierci doczesnej będzie, mnie przynajmniej taką pewność dała. A czy życie to wynik tylko jednych narodzin i mamy tylko jedno życie, czy jest ich wiele i żyjemy wiele razy, czy po śmierci doczesnej zachowamy swoją tożsamość, czy może rozpuścimy się jak cukier w wodzie wśród innych istnień? Przekonamy się. Podobnie jak przekonamy się o tym, czy świat jest jeden, czy jest ich wiele.

Trudno byłoby mi przyjąć, że istnieje tylko jeden świat.

Co byłoby, gdybym zaraz po urodzinach został adoptowany przez rodzinę niemiecką? Byłbym dziś Niemcem. Jeżeli zostałbym adoptowany przez Amerykanów, byłbym Amerykaninem. Czy to znaczy, że byłbym tak naprawdę kimś innym, niż jestem dziś?

„Jedno jest niebo dla wszystkich i jedno słońce nad nami, a my jak dzieci pragniemy wielkiej miłości bez granic...”

Jestem alkoholikiem. Nie obnoszę się z tym, ale myślę, że mogę się ośmielić to wyznać. To niby moja prywatna sprawa, mój problem, ale czy do końca? Czyimi dziećmi jesteśmy? Jesteśmy otóż potomkami ludzi, którzy przetrwali Reformację, Kontrreformację, zabory, powstania, tzw. „rewolucję przemysłową”, dwie rewolucje w Rosji, dwie wojny światowe, faszyzm i sporo jeszcze. Czy nasi rodzice, dziadkowie byli nas w stanie wychować?

Armia Radziecka, NKWD, Wehrmacht, Waffen SS, UB, SB, Stasi, KGB i sporo innych instytucji działających w mocy ówczesnych praw przerobi-



ło skutecznie naszych przodków na istoty przerażone tym, że istnieją, na ludzi pełnych poczucia winy z tego powodu, że istnieją.

Ludowe Wojsko Polskie też dołożyło swoje. Mój ojciec trafił do kompanii karnej pod Katowicami, w czasach kiedy Katowice były Stalinogrodem, tylko dlatego że funkcjonariusz UB nie był pewny, czy ojciec jest Polakiem czy Niemcem.

Dziś mamy komputery, internet, telefony, telewizję, ale nie zawsze wiemy kim jesteśmy. Co nie znaczy, że nasi przodkowie zawsze wiedzieli, kim są. Ale zdumiewające jest tak wielkie teraźniejsze zagubienie przy tak wielkim poziomie wiedzy i edukacji.

Czy ja też jestem zagubiony? Pewnie, że tak. Żałuję, że tak późno zacząłem medytować. Ale widocznie tak miało być.

„Kiedy uczeń jest gotowy, nauczyciel się znajdzie”.

Możemy zaprzeczyć istnieniu naszych emocji i myśli. Ale one nie znikną. I nie przestaną na nas wpływać.

To, co napisałem, wiem z własnego doświadczenia, obserwacji i prze-myśleń. W gruncie rzeczy zbyt wiele nie wiem. Po prostu napisałem to, czego jestem pewny.



Najpiękniejsze modlitwy świata

Modlitwa o ludzkość (Bahai)

O Panie Łaskawy! Tyś stworzył całą ludzkość z tego samego pnia. Nakazałeś, aby wszyscy należeli do tego samego domostwa. W Twojej Świętej obecności wszyscy są Twymi sługami i cała ludzkość znajduje schronienie w Twoim Tabernakulum; wszyscy zbierają się przy stole Twojej szczodrości i wszystkich oświeca światło Twojej Opatrzności.

O Boże! Ty troszczysz się o wszystkich, wszystkich ochraniaasz i wszystkim dajesz życie. Ty obdarzyłeś wszystkich zdolnościami i talentami i wszyscy są zanurzeni w oceanie Twego Miłosierdzia.

O Panie łaskawy! Zjednocz nas wszystkich. Spraw, aby różne religie żyły ze sobą w harmonii. Zespól narody w jeden, aby uważały się za członków jednej rodziny i całą ziemię uznały za swoje domostwo. Aby żyły wspólnie w idealnej zgodzie.

O Boże! Wzniesz wysoko sztandar jedności rodzaju ludzkiego!

O Boże! Ustanów Pokój Najwyższy!

O Boże! Zjednocz nasze serca!

O Ojciec łaskawy! Uciesz nasze serca aromatem Twej miłości. Rozjaśnij nasze oczy światłem Twojego Przewodnictwa. Uraduj nasze uszy melodią Twojego Słowa i schroń nas w Twierdzy Twojej Opatrzności.

Tyś jest Mocnym, Potężnym i Przebaczącym. Tyś jest Tym, który pobłaga ułomnościami wszystkich ludzi.

‘Abdu’l-Bahá

Modlitwa za zmarłych (Bahai)

O Mój Boże! O Ty, który odpuszczasz grzechy, rozdajesz dary i usuwasz nieszczęścia!

Zaprawdę, błagam Cię, abyś przebaczył grzechy tym, którzy opuścili ziemską powłokę i zostali uniesieni do świata duchowego.

O Mój Panie! Opuść ich przewinienia, oddal ich smutki i zamień w światłość otaczające ich ciemności.

Spraw, aby dotarli do ogrodu szczęścia, obmyj ich wodą najczystsza i pozwól, aby oglądali Twoje wspaniałości z najwznioślejszej góry.

‘Abdu’l-Bahá

Modlitwa o oddalenie smutku (Bahai)

Rozwiej mój smutek Twoją łaską i szczodrością, O Boże, mój Boże, i oddal moją boleść swą władzą i mocą. Ty widzisz mnie, o Boże mój, z twarzą zwróconą ku Tobie w chwili, gdy ze wszech stron osaczają mnie zmartwienia. Błagam Cię, o Ty, który jesteś Panem wszelkiego stworzenia i który zaćmiewasz wszelkie rzeczy widzialne i niewidzialne powołując się na Twoje imię mocą, którą zniewalasza serca i dusze ludzi i na fale oceanu Twego miłosierdzia oraz wspaniałość Jutrzenki Twojej łaski – zalicz mnie do tych, których nic nie powstrzymało od zwrócenia twarzy ku Tobie, o Ty Panie wszelkich imion i Stwórcu niebios!

Bahá’u’lláh

Modlitwa (Islam - Rabia al-Adawijja)

„O Boże! Jeśli oddaję ci cześć z lęku przed piekłem, niech mnie pochłonie ogień piekielny, jeśli oddaję ci cześć, w nadziei że pójde do Raju, wygnaj mnie z Raju, lecz jeśli czczę cię ze względu na Ciebie, nie kryj Swej wiecznej Piękności!”

Daj mi wewnętrzny spokój...

„Boże, daj mi wewnętrzny spokój, abym przyjął rzeczy, których nie potrafię zmienić; daj mi odwagę, abym zmienił rzeczy, które mogę zmienić, i daj mi mądrość, abym rozróżnił pierwsze od drugich”.

Christoph Oetinger



Pokłosie z autobiografii pani Champion de Crespigny

Ernest Bozzano

artykuł opublikowany w „Revue Spirite”

Dama, którą się będę zajmował, to pani Champion de Crespigny, przewodnicząca Brytyjskiego Kolegium Nauk Psychiczych, malarka, wirtuozka, powieściopisarka i poetka, kobieta wykształcona, teozofka i spirytystka, zmarła 10 lutego 1935 r. w wieku 71 lat.

Ogłosiła przed rokiem swą autobiografię zatytułowaną *This World and Beyond* (*Ziemia i zaświaty*), w której stylem pięknym, miękkim i giętkim opowiada wydarzenia ze swego bardzo w młodości ruchliwego życia. Ojciec jej bowiem jako admirał floty brytyjskiej stacjonował w różnych portach na kuli ziemskiej, a ona towarzyszyła mu wszędzie. Uspodobienie poważne, oraz żywa, wcześniej dojrzała inteligencja zmusiły ją, aby prędko zwątpiła w zakorzenione i ugruntowane dogmaty religijne, które uważała za niezgodne ze zdobyczami naukowymi naszej epoki. Jako młodziutka panienka zwracała się do anglikańskich pastorów, chcąc uzyskać wyjaśnienia wątpliwości, ale usłyszała surowe nagany i powiedzenie, że artykuły wiary trzeba przyjmować bez zastrzeżeń. W jej otoczeniu panował taki sam ortodoksyjny nastrój, więc nie spierała się. Nie mogła jednak ani swemu rozumowi przeszkodzić, by się kształcił w zakazanym kierunku, ani swemu sumieniu, by się nie buntowało przeciw nakazom wiary, które rozum odrzucał jako absurdalne. I tak się złożyło, że młodość jej i długi okres po jej zamążpójściu upłynęły w rozterce, w przykrym nastroju duszy z powodu wątpliwości religijnych, które ją trapiły. System filozoficzny

Herberta Spencera, transformizm Darwina, materializm Huxleya dzięki pewnym pozytywnym dowodom, na których się opierały, opanowywały kolejno jej umysł, ale równocześnie buntowało się jej pojęcie filozoficzne na myśl, że nieprzenikniony byt całego wszechświata ma zgasnąć i zniknąć... w nicości.

Teorie kosmogoniczne (dotyczące budowy wszechświata) wschodnie, które na zachodzie głosił i szerzył ruch teozoficzny, zadowolili jej umysł, ale nie przekonały jej jako osoby niezdolnej wierzyć tylko dlatego, że wiara tego wymaga. Buntowała się przeciw takim ortodoksyjnym twierdzeniom wiary chrześcijańskiej, buntowała się tak samo przeciw takim teoriom teozofii, chociaż pozwalały jej zapoznać się z tajemnicą bytu i istnieniem zła.

W takiej chwili niezmiernie przykrego kryzysu sumienia spotkał ją przypadkowo pułkownik Johnson. Rozmowa zesłała jakoś na spirytyzm, którym się zajmował. Widząc stan duchowy pani Crespigny, zaproponował jej seans z panią Ettą Wriedt, słynnym amerykańskim medium „o głosach bezpośrednich”, która od jakiegoś czasu przebywała w Londynie. Oto co p. de Crespigny pisze o tym:

„Pułkownik Johnson nie znał zupełnie mego życia i nie spotkał się nigdy z moim niedawno zmarłym mężem. Przyznać się też muszę, że co do spirytyzmu miałam moc zastrzeżeń. Nie stawiałam zarzutów samej zasadzie, ale byłam ujemnie nastawiona do mediów, które w moim pojęciu oszukiwały, narzucały swe urojenia masie łatwowiernych ludzi, gotowych pochłonąć to, co się im podawało...

Był maj 1914 r. Udałam się sama do p. Wriedt w Wimbledon i nie wiedziałam swego nazwiska medium.

Etta Wriedt nie była w transie. Siedziała w swoim miejscu zupełnie przytomna, brała udział w rozmowie i pamiętała później wszystko, co się działo. Nieraz sama rozmawiała w chwili, kiedy „głos bezpośredni” mówił z kimś z obecnych. Byłyśmy same. Pokój do seansów był duży i poza krzesłami, na których siedziałyśmy i sofy, nie było w nim żadnych mebli. Usiadłyśmy jedna naprzeciw drugiej w odległości 5-6 stóp, a trąbka aluminiowa leżała na podłodze pomiędzy nami.

Czułam się moralnie źle, gdy tak siedziałam we dwójkę, w zupełnej ciemności, czekając nie wiedzieć na co. W chwili jednak, gdy zaczęły od-

zywać się „głosy”, wszystko uległo zmianie. Uczucie nie-miłe, jakie odczuwałam z powodu tej niezwyklej sytuacji pierzchno natychmiast.

Gdy tylko zapadły ciemności, uczułam dotknięcie w kolano, choć p. Wriedt rozmawiała ze mną ze swego miejsca. W chwilę później jakiś głos przemówił do mnie przez trąbkę. Był to donośny głos, który można było słyszeć doskonale z każdego miejsca w pokoju. Zdałam sobie wtedy natychmiast sprawę, że zarzuty o egzaltowanej imagi-nacji, iluzji, telepatii były absurdalne i nie do utrzymania.



Głos ten był rzeczywisty, materialny, słyhać go było nawet wtedy, gdy p. Wriedt dalej rozmawiała ze mną, ze swego miejsca. Musiałam ją prosić, aby zamilkła i nie przeszkadzała mi, gdy go słyhałam.

Pani Wriedt powiedziała mi, że widzi tego, który się zjawił i podała mi dokładny rysopis mego zmarłego męża: „ubrany jest w mundur, ma złote galony na mankietach i także błyszczące epolety”. Dodała też, że prawdopodobnie w celu zidentyfikowania się, zatańczył parę obrotów walca (rzeczywiście, oboje namiętnie lubiliśmy tańczyć). W tej chwili usłyszałam gwizdaną półgłosem melodię walca „Darehin”, którego zmarły szczególnie lubił! Następnie głos jakiś, w którym czuć było silne wzruszenie, nazwał mnie po imieniu, mówiąc, że jest moim mężem. Nie rozpoznałam jednak w jego brzmieniu głosu mego męża i dlatego nie mogłam uwierzyć, że to on jest naprawdę obecny. Później dopiero zrozumiałam wiele rzeczy – ale nie należy zapominać, że był to mój pierwszy seans... W każdym razie zdałam sobie sprawę, że znajduję się wobec dziwu nieskończenie

wyższego niż wynalazek lokomotywy, aeroplanu i innych odkryć geniusza ludzkiego...

Głos ten stawiał mi pytania i odpowiadał na te, które mu postawiłam; odpowiedzi te wydawały mi się niejasne i niewystarczające, wymagałam rozstrzygających, niezbitych dowodów...

Następnie dał się słyszeć inny głos, który nazwał mego męża imieniem, jakie dawało mu tylko kilku członków rodziny. Poznałam, że jest to jeden z moich szwagrów, zmarły piętnaście lat temu. Byłam niezmiernie zdumiona, gdyż nigdy nie przypuszczałam, że właśnie on zjawi się podczas seansu mediumicznego. Powiedział do mnie:

– Nie przypuszczałem, że ciebie tutaj znajdę.

– Dlaczego? – odpowiedziałam. – Przecież problem porozumiewania się ze światem duchów interesował mnie zawsze i wierzyłam, że przyszłość musi go wyjaśnić!

– No dobrze, ale jesteś jedynym członkiem naszej rodziny, który usiłuje porozumieć się z nami.

Wszystko, co mówił, było prawdą, ale wartość probierczą i ścisłość uwag można było przypisać prostemu przypadkowi. Mówił jednak dalej i przypominał mi zabawę, na którą za naszych młodych lat razem poszliśmy, wspominał o kwiatkach, które wtedy ze sobą przyniosłam. Wszystkie te szczegóły były zupełnie prawdziwe. Dodał jeszcze w końcu, że mąż mój prosił go, aby mi się zjawił i przekonał, że głos, który poprzednio słyszałam, był głosem mego męża.

Nadeszli też i inni goście z zaświatów, a wśród nich osoba, której nie znałam za życia, ale która później stała się bardzo cennym pośrednikiem między mną a światem duchów. Powiedziała mi, że nazywa się Florence Nightingale, i ukazała mi swe światło, po którym będę ją mogła zawsze rozpoznać, ilekroć w przyszłości będzie mi się ukazywała. Ukazało mi się też rzeczywiście okrągłe światło wielkości lampki rowerowej i tak samo jasne. Poruszyła nim kilkakrotnie i to w ten sposób, że zdawało mi się, iż dotknie mojej twarzy. Nie mogłam się powstrzymać od odruchu, jakbym chciała to światło pochwycić, ale ręka przeszła dosłownie przez świetlany krąg. Mój impulsywny odruch był niebezpieczną śmiałością, jaką popełniają sceptycy przy pierwszych seansach. Na pewno nie zrobię już tego więcej.

W każdym razie pomimo tylu niezwykłości, które widziałam, nie zostałam przekonana i poszłam do domu niezadowolona, stwierdzając, że nic bezwzględnie przekonywującego z punktu widzenia spirytualistycznego się nie zdarzyło, a przeciwnie skonstatowałam duże omyłki w powiedzeniach mego domniemanego męża. W pewnej bowiem chwili powiedział mi: „Dziękuję ci za kwiaty”. Chcąc go wystawić na próbę, postawiłam takie pytanie: „Mówisz zapewne o kwiatkach, które złożyłam na twej trumnie?” Zdawało mi się, że potwierdził – a przecież tak nie robiłam, nie było więc to prawdą”.

Następnego dnia walczyła p. de Crespigny z wieloma ciężkimi wątpliwościami. Z jednej strony przypominała się jej pomyłka, popełniona przez osobistość, która się jej zjawiała, i głos, którym mówiła, a który nie wydawał się jej głosem męża; z drugiej strony myślała o niewytłumaczonym fakcie gwizdania ulubionego walca, i prawdziwych wspomnieniach z dni wcześniejszej młodości, podanych jej przez zmarłego szwagra.

Lecz nazajutrz przyszedł do niej pułkownik Johnson. Powiedział jej, że był na seansie u p. Wriedt, w czasie którego usłyszeli silnie podrażniony głos, podający imię i nazwisko zmarłego męża p. de Crespigny, który następnie dodał, iż żona jego nie wierzy, że to on z nią rozmawiał. Prosił zatem pułkownika, aby poszedł do niej i powiedział, że się myli. W końcu rzekł głosem zmartwionym: „Proszę jej powiedzieć i przekonać ją, że mnie źle zrozumiała; ona sądzi, że przytaknąłem jej, iż kwiaty złożyła na mojej trumnie. Tego wcale nie powiedziałem. Ciało moje jest spalone – prochy w urnie – trumny nie było... Proszę się jej zapytać, czy przypomina sobie *Galaton* w porcie morskim Australii? Wtedy zrozumie, co miałem na myśli i tym razem zostanie przekonana”.

Pani de Crespigny mówi dalej:

„Nie umiem wyrazić słowami tego ogromu przekonania, które ten komunikat wlał do mojej duszy. Był to dowód nad dowodami, jakiego na próżno i trwożnie tak długo oczekiwałam. Szukałam go wszędzie, pukałam do wszystkich drzwi i na koniec podwoje wielkiej tajemnicy otwały się przede mną. *Nikt poza moim mężem nie mógł przekazać mi tego komunikatu!!*

Czytelnicy, którzy przejrżeli pierwsze rozdziały tej książki, zrozumieją całą siłę dowodu, jaki otrzymałam. Statek nazywał się *Galatea*, a nie *Ga-*

laton, ale ta zmiana nazwy jest właśnie uzupełniającym dowodem, mówiącym na korzyść pochodzenia spirytystycznego tego komunikatu, gdyż jeżeli pułk. Johnson źle zrozumiał nazwę okrętu, to znaczy, że nie znał naszej przeszłości”.

Tak oto w streszczeniu przedstawia się pierwszy seans, który zmusił de Crespigny do badań metapsychicznych. Podczas długiej serii seansów z tym samym potężnym medium, mnożyły się dowody identyfikacji jej męża, ojca i wielu innych osób, które się pojawiały, dając zupełną naukową pewność ich realnej obecności na seansie. Zauważyć trzeba, że tak mąż jak i ojciec uciekali się często do metody zjawiania się wtenczas, kiedy żona względnie córka nie była obecna na seansie. Prosimi wtedy kogoś z obecnych, aby przekazano jej komunikat. Była to doskonała metoda, usuwała wszelką możliwość czytania w podświadomości tej pani. Tego właśnie rodzaju był wypadek z płk. Johnsonem, który wyżej przytoczyłem, a inny analogiczny wypadek zdarzył się w kilka dni później.

Pani de Crespigny otrzymała list od nieznanego jej wtenczas zupełnie Usborne’a Moore’a, w którym donosił jej, że będąc na seansie u p. Wriedt usłyszał głos osobistości mówiącej, że jest Filipem de Crespigny. Wtedy admirał odpowiedział:

– Ależ ja pana nie znam i nie znałem nikogo, kto by tak się nazywał. Przypominam sobie tylko, że w marynarce wojennej był oficer nazwiskiem de Crespigny, który ożenił się z córką admirała sir Coopera Keya.

– Właśnie – odpowiedział głos – to jest moja żona, a ja jestem Filipem de Crespigny, oficerem marynarki wojennej. Mam jeszcze dwóch braci, którzy żyją (i podał dokładne imiona).

– Dlaczego zjawia się pan mnie, przecież nie znam pana zupełnie?

– Gdyż jest pan przyjacielem ojca mojej żony, admirała sir Coopera Keya, który też tu jest ze mną obecny.

– Kiedy pan umarł?

– Półtora roku temu.

Admirał Moore sądził, że de Crespigny zmarł przed pięciu laty; napisał więc do jednego z przyjaciół, prosząc go o bliższe dane, i okazało się, że jednak zmarł przed półtora rokiem.

Taką to niebezpośrednią drogą zjawiał się jej ojciec wraz z mężem, usuwając w ten sposób hipotezę, że medium mogło wyczytać w podświadomości obecnej na seansie p. de Crespigny imię i nazwisko, oraz różne inne szczegóły, jakie podawali.

Innym razem ojciec i mąż przyprowadzili na seans osoby, które p. de Crespigny znała bardzo pobieżnie, przytaczając drobne wydarzenia z tej tak odległej epoki. Oto przykład:

„Podczas seansu, w czasie którego po raz pierwszy mówił ze mną mój ojciec, usłyszałam też głos, który twierdził, że nosi imię *Zofia*.

- Żałuję – powiedziałam – ale nie znam osoby noszącej takie imię.
- A przecież znała mnie pani.
- Jakie jest pani nazwisko?
- Morant.

Wtedy dopiero przypominałam sobie, kiedy poznałam kobietę, zjawiającą mi się obecnie. Dodała ona:

– To pani ojciec mnie tu przyprowadził i prosił, abym się pani ukazała. Teraz przypomina mnie sobie pani?

– Tak, teraz sobie przypominam. To pani podarowała mi moje pierwsze w życiu pudełko z farbami. Byliśmy wtedy na Malcie – ja byłam małą dziewczynką. Nie wiedziałam jednak, że na imię pani *Zofia*.

- Nie wiedziałyby tego pewno pani nigdy...
- Czy już dawno przebywa pani w świecie duchów?
- Od dwóch lat. Mój mąż jeszcze żyje.

Po seansie dowadywałam się o niej bliższych szczegółów i przekonałam się, że naprawdę nosiła imię *Zofia*, że umarła dwa lata temu i że jej mąż jeszcze żył. Nie widziałam jej i nie słyszałam nigdy o niej od tych odległych czasów mego dzieciństwa...”

W przykładzie, który przytoczyłem, spotykamy dwa prawdziwe fakty, nieznane zupełnie prowadzącemu seans. Osobistość zjawiająca się stwierdziła najpierw, że umarła dwa lata temu. Wynika więc jasno, że nie może być mowy o odczytaniu tego w podświadomości obecnych, a jeszcze mniej o odczytaniu na odległość (telemnezja) w podświadomości męża, gdyż medium nie wiedziało nawet, że on istnieje. Jakże więc mógł się w tych warunkach nawiązać „związek psychiczny” pomiędzy dwoma

nieznającymi się podświadomościami, „związek psychiczny” odpowiadający dokładnie „syntonizacji” fal elektrycznych w radiu?

W przypadku tym byłoby jedynie teoretyczną możliwością nawiązać łączność z kimś nieznanym za pośrednictwem psychometrii. Musiałoby się jednak dać medium jakiś przedmiot noszony dłuższy czas przez tę osobę, a ponieważ to nie miało miejsca, pozostaje jedynie i niewzruszone wyjaśnienie za pomocą spirytyzmu.

W drugim wypadku, który przytoczyłem, duch ojca przyprowadza ze sobą osobistość, która się komunikuje z p. de Crespigny, a o której ta ostatnia nie słyszała nic od 50 lat.

Pani de Crespigny miała przyjaciółkę, która interesowała się tym, co się działo podczas seansów u pani Wriedt, ale oświadczyła, że nie może uwierzyć, o ile sama nie zobaczy tych niezwykłości. Przyprowadziła więc ją p. de Crespigny na seans.

Zjawił się jak zwykle mąż p. de Crespigny i zaraz poznał nowo przybyłą, nazywając ją po imieniu. Zapytał też ją czy przypomina sobie pierścionek, który jej podarował wiele lat temu. Zapytana, będąc silnie wzruszona, nie dawała zaraz odpowiedzi i nie przypominała sobie nic. Dopiero po chwili namysłu, gdy się opanowała, spytała:

– Może to się odnosi do srebrnego pierścionka, który dał mi pan na Bermudach, gdy miałam dwanaście lat?

– Tak jest – odpowiedział – na tym pierścionku była królewska korona.

Nowo przybyła pani zaskoczona była tym powiedzeniem. Pierścionek, o który chodziło, był rzeczywiście srebrny, przekuty przez puszkarza na okręcie z monety szylingowej w ten sposób, że posiadał nietkniętą koronę królewską i wieniec, który ją otaczał. Stało się to rzeczywiście na Bermudach, gdzie ojciec p. de Crespigny dowodził eskadrą. Na koniec osobistość komunikująca się dodała: „Pani zarzuciła ten pierścionek i nawet pamięta gdzie...” I to była prawda, gdyż pani ta pożyczyła go do przybrania puddingu na Boże Narodzenie i już go nie dostała z powrotem. Pani de Crespigny zauważyła dalej:

„Banalności – ciągle i zawsze banalności, jak twierdzą niektórzy krytycy, ale widocznie te właśnie banalności słusznie były użyte, jeżeli posłużyły do przekonania mej przyjaciółki... Gdyby ojciec mój zamiast tych banalności podał mi imiona mych dzieci, datę mego ślubu, swej śmierci,

to sądziłabym, że medium mogło znać te dane z jakiejś książki lub urzędowego spisu. Gdyby wystąpił z jakąś filozoficzną rozmową, nie uwierzyłabym, że to on jest obecny, tak tego rodzaju rzeczy obce były jego usposobieniu. Gdyby mi opisywał swe życie po tamtej stronie, musiałabym najpierw przekonać się, czy istnieje ten świat duchów. A właśnie te aluzje do błahych, nic nieznaczących banalności naszego zwykłego życia, szczególnie znane jedynie jemu i mnie – rozwiały wszelkie moje wątpliwości i to w taki gruntowny sposób, w jaki żaden inny dowód nie byłby w stanie tego zrobić. Chciałabym zresztą wiedzieć, w jaki sposób postąpiliby ci wszyscy krytycy, gdyby musieli telefonem udowodnić swoją identyczność osobie podejrzliwej, znajdującej się na drugim końcu druta?...

W wypadku, który następuje, okaże się, że sama osoba eksperymentująca nie pamiętała dat, podczas kiedy osobistość komunikująca się z nią poprawiała błędy, a przeprowadzona ankieta przyznała tej ostatniej rację. Mniej więcej 50 lat temu był taki czas, kiedy stosunki pomiędzy Anglią a Rosją były bardzo naprężone. Rząd angielski odwołał z zagranicy admirała Coopera Keya, ojca p. de Crespigny i powierzył mu przeprowadzenie częściowej mobilizacji floty. Pani de Crespigny pisze:

„Podczas jednego z pierwszych seansów z panią Wriedt przyszło mi na myśl, aby wystawić na próbę pamięć osoby komunikującej się ze mną i wspomniałam o tym zdarzeniu. Tym razem jednak dotknęło mnie uderzenie, które do niej skierowałam. Zapytałam:

– Czy przypominasz sobie ten okres czasu, gdy objąłeś komendę zjednoczonej floty w Weymouth w chwili zatargu rosyjskiego w 1879 roku?

– Naturalnie że przypominam sobie, brzmiała odpowiedź. – Ale to było w 1878 roku, a nie 1879.

Tak więc to ja się pomyliłam i musiałam to przyznać, przeglądając dokumenty z tego czasu. Seans ten odbył się w 1914 r. i nikt nawet wśród oficerów marynarki królewskiej nie przypominałby sobie tego małego zatargu angielsko-rosyjskiego, zlikwidowanego w ciągu kilku dni...”

Przytaczam ostatni epizod, dotyczący mediumiczności pani Wriedt. Chodzi tu o zjawisko natury odmiennej od poprzednich, gdyż w grę wchodzi tu nadzmysłowe zdarzenie, które spotkało p. de Crespigny, gdy była sama w domu. Zdarzenie to zostało potwierdzone nazajutrz komunikatem mediumicznym, uzyskanym przez admirała Moore’a, a nie przez p. de Crespigny.

Oto co ona o tym zdarzeniu opowiada:

„Pewnego wieczoru czytałam sama w pokoju przy świetle lampy elektrycznej, której światło muskało moje lewe ramię, gdy nagle jakiś cień przesunął się po stronicy książki. Cień ten był tak odmienny od drgania lampy elektrycznej, że zwrócił moją uwagę. Zdawało mi się, że nietoperz lub ptak jakiś przesunął się między mną a książką. Nie znalazłszy nic, co by mogło wyjaśnić ten wypadek, zabrałam się do dalszego czytania, nie myśląc o tym więcej.

Nazajutrz zaproszona byłam do jednej z mych przyjaciółek, gdzie spotkałam admirała Moore'a. Gdy mnie ujrzał, zawołał: „Nie przypuszczałem, że się tutaj spotkamy, ale zdaje się, że *Miss Nightingale Pani Świetlana* wiedziała o tym. Gdy dzisiaj rano miałem seanse z p. Wriedt, ukazała się ona i poleciła mi przekazać pani komunikat, który dla mnie nie ma żadnego znaczenia, ale który może pani zrozumie. Powiedziała mi, że to ona wczoraj wieczorem rzuciła cień na książkę, którą pani czytała”.

Pani te Crespigny komentuje to zdarzenie dosyć lakonicznie, mówiąc: „Oto inny epizod, który nie da się wytłumaczyć hipotezą podświadomości”.

Tak jest bez wątpienia. Wspomniane wyżej zdarzenie z dnia poprzedniego nikomu nie było znane. Ta okoliczność, że osobistość mediumiczna stwierdziła, iż ona była powodem wydarzenia, a w dodatku, że to potwierdziła w nieobecności osoby, która to zjawisko widziała, nabiera specjalnej wartości teoretycznej. Usuwa ona zupełnie hipotezę nieparanormalną i każe przypuszczać, że jeżeli ta osobistość mediumiczna mogła oddalić się od medium, by gdzie indziej wywołać zjawisko, to wchodzi tu w grę nie jakaś efemeryczna indywidualność, ale autentyczna osobistość duchowa.

Zanim przejdę do innej rzeczy, muszę dodać, że z medium p. Wriedt uzyskiwano wiele zjawisk ksenoglosji. Kilka z nich przytacza w swej książce p. de Crespigny. Aby jednak zbyt nie przedłużać tego artykułu, ograniczam się do przytoczenia tego tylko wyjątku, w którym autorka streszcza swe spostrzeżenia w tym względzie.

„Usłyszałam cztery głosy, mówiące równocześnie do tyłuż obecnych na seansie. Jeden z nich mówił mi do ucha zwykłym głosem, słyszalnym dla wszystkich. Był to mój ojciec, który dawał mi objaśnienia w sprawach prywatnych, podczas gdy na drugim końcu inny donośny głos mówił po holendersku. Nieraz byłam obecna przy rozmowach, prowadzonych

w trzynastu lub czternastu językach, chociaż p. Wriedt znała tylko ojczysty język. Wśród tych różnych języków przypominam sobie hindustański, trudny i mało używany dialekt bretoński, maltański, język chorwacki, serbski, nowogrecki, a oprócz tego język niemiecki, francuski, szwedzki itd. Nie zauważono nigdy niepewności w odróżnieniu osoby, do której skierowywała się trąbka, osobistość zjawiająca się skierowywała się stale, bez wahania do tego z obecnych, który znał język, w jakim chciała przemawiać. Jest to szczególnie sam przez się bardzo probieczy, o dużym znaczeniu dla spirytyzmu...”

Ustęp, który przytoczyliśmy, potwierdzony został przez admirała Usborne’a Moore’a w dwóch jego książkach i sam jeden wystarczyłby w sposób niezbity do wykazania obecności duchowej zmarłych, rozmawiających językami i dialektami, których medium nie znało. Niedowiarstwo ludzkie jest jednak niewzruszone jak skała, a historia uczy, że tylko czas może doprowadzić do zwycięstwa tej prawdy.

Szczegół z czterema głosami, które mówiły równocześnie w różnych językach, o czym także donosił admirał Moore, posiada niezmierną wartość teoretyczną i świadczy na korzyść hipotezy spirytualistycznej, gdyż absurdem byłoby przypuszczać, że aktywność psychiczna medium może dzielić się na części, zdolne tworzyć cztery kompletne osobistości psychiczne, mówiące różnymi językami, a nieznane osobistości integralnej. Zjawisko tego rodzaju powtarzało się dosyć często i u innych mediów – i mówiło teraz kilka głosów, różnymi językami. Gdyby absurd ten przypuścić – to uważać trzeba by to za cud, który nie ma nawet w przybliżeniu równego sobie w patologii umysłowej, gdyż zjawiska desegregacji psychicznej u histeryków wywołują „osobistości zmieszane” (zawsze bardzo ograniczone w swej zdolności umysłowej), a nigdy nie są to „osobistości współczesne” – obiektywne zawsze, a nigdy nie subiektywne. Ten mediumiczny cud stanowiłby zupełną niemożliwość psychiczną, pozostaje więc wyłącznie interpretacja spirytystyczna, która jest jedynie racjonalna.

Wszystkie wyżej podane epizody zdarzyły się podczas seansów z panią Wriedt, a nie dysponuję odpowiednim miejscem, aby przytoczyć tu fakty analogiczne, uzyskane u innych mediów, jak pani Osborne Leonard, Roberts, Mason, Estera Dowden, panna Bessinet, panowie Maskell, Sloan i inni.

Pani de Crespigny uzyskiwała z nimi, poza wspaniałymi wypadkami identyfikacji osobistych, bardzo znaczne zjawiska fizyczne, jak materializacje zjaw, lewitacje, aporty, oraz zjawiska intelektualne, jak wypadki jasnowidzenia przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, nie licząc już, że była obecna przy zjawiskach owładnięcia i że sama dała zjawisko rozdwojenia.

Razu pewnego medium Annie Hunter pogrążona przy jasnym świetle w głębokim transie, zbliżyła się do niej i podała jej rozpaloną głownię, zapewniając, że nic jej nie będzie, gdyż stanie się nieczuła na ogień. Pani de Crespigny miała odwagę wziąć głownię w rękę i trzymać tak długo, aż medium obeszło cały pokój i wróciło do niej, by ją odebrać. Nie sparzyła się, nie czuła ani ciepła, ani bólu tak, jak zapewniło ją medium. Inni obecni nie chcieli się poddać tej próbie.

* * *

Powinienem teraz, reasumując to wszystko, co przytoczyłem, wyciągnąć konkluzję i powiedzieć swe zdanie o książce, którą analizowałem. Na razie wolę jednak zbijać zarzuty i elukubracje¹ antyspiirytystyczne francuskiego doktora. Przytoczone wyżej epizody identyfikacji spirytystycznych posłużą mi jako skuteczne przykłady, dotyczące jednej kategorii wypadków, które wspomniany doktor pominął w swej pracy dlatego, że stanowiłyby bez wątpienia przeszkodę w wyciąganiu wniosków, do których chciał dojść za wszelką cenę.

Mam tu na myśli dr. E. Pascala, który ogłosił w „Przeglądzie Metapsychicznym” (marzec-kwiecień 1935 r.) 40-stronicowe studium pt. *La transe des médiums et des mystiques*, w którym za cel postawił sobie, że wykaże, iż trans polega tylko i jedynie na stanie hipnotycznym. Sądzi, że udowodnił to, gdy stwierdził, że trans tak jak hipnotyzm charakteryzują trzy stany:

- amnezja po przebudzeniu (utrata pamięci);
- pamięć przemijająca;
- poddawanie się wpływowi.

Zauważyć muszę najpierw, że w ten sposób podtrzymuje on tezę nie nową, bo już dawno przecież wykazano, że nie ma różnic jakościowych, a tylko ilościowe pomiędzy snem naturalnym i rozmaitymi formami snu

¹ Elukubracja – utwór literacki lub inny tekst pisany z wysiłkiem i bez talentu – przyp. red.

anormalnego, takiego jak somnambulizm naturalny i wywołany, sen hipnotyczny, sen mediumiczny i ekstatyczny. Chodzi tu więc o różnice stopnia głębokości, w jaki zapada podczas snu organ umysłu lub – jeśli ktoś woli – podświadomość. M. de Rochas bardzo dobrze uwydatnił te warunki odnośnie somnambulizmu wywołanego z objawami supranormalnymi, nazywając go „stanem głębokiej hipnozy”. To właśnie określenie „hipnoza” ma znaczenie ogólne i może być zastosowane do wszelkich rodzajów snu anormalnego, jeżeli sen wywołany powoduje zjawiska natury supranormalnej takie, jak: odczytywanie myśli, telemnezję, telestezję, jasnowidzenie przeszłości i przyszłości i oznacza po prostu, że warunki hipnozy pogłębiły się i stały się w ten sposób warunkami somnambulicznymi. Ten ostatni warunek zbliżony jest do snu mediumicznego tak, że często przemienia się w niego samorzutnie bez tego, aby hipnotyzer lub magnetyzer mieli ten zamiar. Znane są dobrze wypadki tej natury, które zdarzyły się z magnetologami, doktorem Billot i Alfonsem Cahagnet, ale przede wszystkim z doktorem Larkinem. Ten ostatni, magnetyzując młodą dziewczynę w celu diagnozy, zaskoczony był obecnością zjaw osobistości, które mówiły, że są duchami zmarłych, i aby mu to udowodnić, podawały swoje nazwiska i inne wskazówki potrzebne do ich identyfikacji. Dr Larkin skontrolował te objaśnienia i stwierdził, że „duchy zmarłych” powiedziały bezwzględną prawdę. W ten sposób zebrał więcej niż 200 wypadków identyfikacji spirytystycznych, i to wypadków, które przeważnie odnosiły się do osób nieznanymi, żyjących w skromnych warunkach, często w krajach odległych i zmarłych wiele lat temu.

Jest zatem jasne, że teza podstawowa dr. Pascala nie jest absolutnie nowa i uważać ją można za przyjętą przez naukę od 30 lat, a co za tym idzie, żaden metapsychik, tak z obozu spirytystów, jak z obozu „animistów” nie myśli jej przeczyć.

W tych warunkach gotów jestem z kolei przyznać, że dr Pascal miał słuszość, gdy twierdził, że różne fazy, przez jakie przechodzi sen anormalny, mogą być uważane za formy mniej lub bardziej głębokiej hipnozy. Przyznaje też, że trzy analogie, istniejące między snem mediumicznym i hipnotycznym, są niewątpliwe. Zapytuję jednak równocześnie ze zdziwieniem, jak mógł powziąć dr Pascal myśl, żeby ogromne różnice natury supranormalnej, psychologicznej i fenomenologicznej, które objawiają

się podczas najgłębszego stanu hipnozy, nazwanego „transem mediumicznym”, uważano ciągle jeszcze za desagregacje psychiczne takie, jakie się realizują podczas najbardziej powierzchownego stanu hipnotycznego, kiedy występują „personifikacje somnambuliczne”, pochodzące z autosugestii medium lub sugestii obecnych i dają objaśnienia prawdziwe, nabyte w mentalności obecnych.

Konkluzje te są dziwne, gdyż stoją w jaskrawej sprzeczności ze sprawdzonymi faktami. P. Pascal dochodzi jednak mimo wszystko do wykazania tego, co chce, uciekając się do najbardziej sprawnej metody, jaką sobie można wyobrazić. Zbiera więc błahe i nic niewarte fakty sugestywne i autosugestywne, które niestety zapełniają dziedzinę badań mediumicznych, dowody powstałe dlatego, że prywatne kółka zanieczyszczane są pseudomediami, będącymi tylko podmiotami hipnotycznymi, z których wypływa jedynie banalność, absurdalność i sprzeczność. Fakty takie zbiera p. Pascal z wielką starannością na 40 stronach swej pracy, popadając przy tym w dosyć liczne nieścisłości. Z drugiej strony przemilcza zupełnie istnienie objawów mediumicznych, supranormalnych we wszystkich innych formach poza telepatią (ta mu tylko jest potrzebna). Można powiedzieć, że dla niego nie istnieją pewne wypadki identyfikacji spirytystycznych, w których występują nieznani medium i obecnym zmarli, którzy żyli i zmarli w zapomnieniu, w odległych krajach, lub też wypadki, gdy chodzi o zmarłych, którzy piszą i mówią w swym ojczystym języku nieznanym tak medium jak i obecnym, języku, którym może być starogrecki, egipski sprzed 3500 lat, perski sprzed siedmiu wieków, arabki, turecki, hindustański, chorwacki, węgierski, polski, szwedzki itd. Ponieważ nie można przypuścić, żeby dr Pascal nie znał tego ogromu faktów, jakie wymieniłem, przeto budzi się podejrzenie, że pominął je po prostu dlatego, że nie zgadzały się z jego własną teorią, że sen mediumiczny jest identyczny ze snem hipnotycznym; teorią doprowadzającą do wniosku, że osobistości mediumiczne są personifikacjami czysto somnambulicznymi. Jeżeli się wie, że personifikacje somnambuliczne nie dają nigdy dowodów identyfikacji osobistej, której by nie znała osoba uśpiona lub obecni i że nigdy nie mówią językiem nieznanym medium lub obecnym, to zrozumie się powód oceny snu p. Pascala wobec faktów identyfikacji spirytystycznej.

Wobec tych tak godnych pożałowania metod badania naukowego, gdy przemilcza się objawy, odnoszące się do niewygodnych tez, uważam, że najracjonalniej będzie nie tracić też czasu na zbijanie i obalanie twierdzeń p. Pascala, rozmieszczonych na 40 stronach.

A teraz prosimy naszych Czytelników, by się zastanowili nad zjawiskiem czternastu języków, którymi mówiły „głosy bezpośrednie” z medium p. Wriedt, jak i nad drugim fenomenem czterech głosów mówiących kilkakrotnie i równocześnie w różnych językach. Potem będziecie w możności wydać sąd nad wnioskami, do jakich doszedł p. E. Pascal, według którego „trans mediumiczny” jest identyczny ze stanem hipnotycznym, a tym samym zjawiska zmarłych odpowiadają „realizacji typów” uzyskanych dzięki sugestii.



William T. Stead

Konrad Jerzak

Punktualnie w południe 10 kwietnia 1912 r. ryk syren dał znak do wypłynięcia jednego z trzech liniowców klasy Olympic, któremu nadano nazwę *Titanic*. Na pokładzie statku, spowitego cieniem czterech masywnych kominów, znajdował się brytyjski dziennikarz William T. Stead, który zajął miejsce w kabinie pierwszej klasy o numerze C87.

Statek wypłynął z portu Southampton w swój dziewiczy rejs ku wybrzeżom Stanów Zjednoczonych, gdzie Stead, zaproszony przez samego prezydenta Williama Howarda Tafta, miał wziąć udział w kongresie na rzecz pokoju organizowanym w słynnej Carnegie Hall w Nowym Jorku.

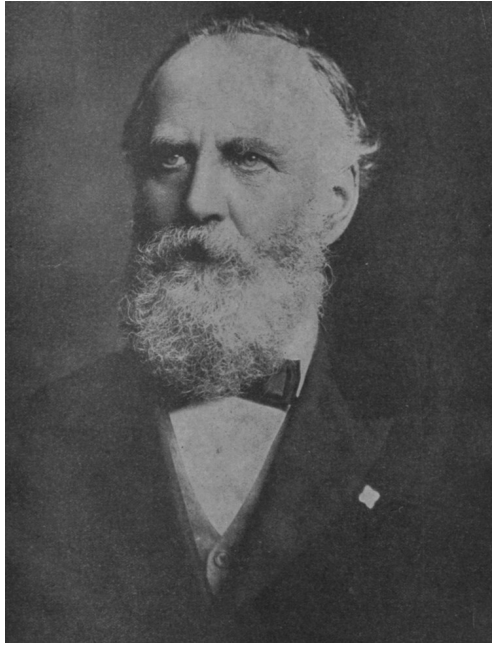
15 kwietnia cały świat obiegła zupełnie niespodziewana wiadomość o zatonięciu „niezatapialnego” liniowca. *Titanic* późną nocą uderzył w górę lodową i zabrał w mroźną toń oceanu setki ofiar, wśród których znajdował się wspomniany brytyjski dziennikarz.

Świadkowie zdarzenia wspominali jednak, że Stead do katastrofy podszedł z ogromnym spokojem i chwile oczekiwania na pewną śmierć spędził, czytając jedną z zabranych w podróż książek. Dlaczego taki spokój towarzyszył mu w ostatnich minutach życia? Córka dziennikarza, Estelle Stead, która spisała jego biografię w książce *Mój ojciec*, wielokrotnie wspominała, że nie bał się śmierci, gdyż wiedział, co po niej nastąpi. Skąd wzięła się w nim ta pewność przyszłości? Aby odpowiedzieć na to pytanie musimy cofnąć się w czasie i poznać lepiej historię jego życia.

William Thomas Stead urodził się 4 lipca 1847 r. w małej wsi Embleton, położonej w hrabstwie Northumberland około 450 km na północ od Londynu, jako syn pastora Kościoła Kongregacjonistów Williama Steada i córki farmera z hrabstwa Yorkshire Isabelli

Stead, z domu Jobson. Edukację w większości zdobył dzięki wysiłkom ojca, który kształcił go od najmłodszych lat. Już jako małe dziecko Stead podobno posługiwał się łaciną tak samo sprawnie jak rodzimym językiem angielskim, a także bardzo dobrze znał Pismo Święte.

W 1870 r. Stead zaczął publikować artykuły w „The Northern Echo” decydując się na karierę dziennikarską i już rok później, pomimo braku doświadczenia, został mianowany redaktorem naczelnym gazety. Był wówczas najmłodszą osobą



piastującą podobne stanowisko w kraju jako zaledwie dwudziestodwuletni młokos. Pracował dla „The Northern Echo” przez niemal 10 lat, po czym w 1880 r. przeniósł się do „Pall Mall Magazine”. W międzyczasie poślubił Emmę Lucy Wilson, córkę miejscowego kupca i właściciela statku, która była jego sympatią od lat młodzieńczych. Emma urodziła mu sześćoro dzieci.

Praca dziennikarska Steada wyznaczała nowe trendy w epoce wiktoriańskiej, w której przyszło mu żyć. W „Pall Mall Magazine” publikował liczne artykuły, gdzie popierał walkę kobiet o równouprawnienie, a także okazywał poparcie Irlandczykom w ich dążeniu do niezależności. Stead był jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy zaczęli stosować prowokację dziennikarską. Jednym z najbardziej znanych przypadków tego rodzaju była seria czterech artykułów na temat dziecięcej prostytutki, w której autor opisywał szczegóły zawartej przez siebie samej transakcji wykupienia trzynastoletniej dziewczyny Elizy Armstrong z rąk matki. Choć sama transakcja była w pełni upozorowana przez Steada i miała na celu wyłącznie wykazanie problemu handlu ludźmi, autora artykułu spotkały przykre konsekwencje – trafił na kilka miesięcy do więzienia.

Stead przez całe życie aktywnie działał na rzecz pacyfizmu, był wielkim propagatorem języka Esperanto. W czasie pobytu w Chicago pisał o problemach alkoholizmu i domów publicznych. Był wielokrotnie nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla.

Życie Steada miało się jednak zmienić dzięki zupełnie niespodziewanym okolicznościom. W przeddzień wyprowadzki z Darlington, miasta, w którym prowadził „The Northern Echo”, do jego domu pogrążonego w chaosie przeprowadzki zapukał jeden z dziennikarzy, Mark Fookes, który przyszedł się z nim pożegnać. Wszystkie przedmioty i meble były już spakowane, więc obaj zaczęli długą rozmowę, w czasie której Stead zaczął się wypytywać Fookesa o doświadczenia związane ze spirytualizmem. Wszyscy w Darlington słyszeli o zamiłowaniach dziennikarza, więc Stead zapewne postanowił wykorzystać ten moment, by wypytać się o szczegóły. Fookes opowiedział o swoich obserwacjach i tym, czego doświadczył w czasie seansów. Najwyraźniej mocno zafrapowało to Steada, ponieważ jakiś czas później poprosił swojego rozmówcę o przesłanie relacji z jednego z owych doświadczeń celem umieszczenia jej w „Pall Mall Magazine”.

William T. Stead zainteresował się tematem zjawisk mediumicznych do tego stopnia, że w 1881 r. postanowił wziąć udział w seansie spirytystycznym prowadzonym przez medium panią Burns. Traktował temat z dużym zaciekawieniem, ale początkowo także i z lekkim przymrużeniem oka. Spotkanie, na które wstęp był bezpłatny, rozpoczęło się od zadawania przez uczestników w myślach pytań, na które medium odpowiadało, uderzając w stół trzykrotnie, jeśli odpowiedź brzmiała „tak”, jeden raz, jeśli „nie”, a dwukrotnie, gdy nie można jej było udzielić. Większość przybyłych osób wydawała się zadowolona z efektów, a niektórzy nawet wyraźnie się wzruszyli uzyskanymi odpowiedziami. Sam Stead postanowił zadać pytanie związane z tematyką polityczną, chcąc dowiedzieć się, czy przegłosowane na najbliższym posiedzeniu będzie akt dotyczący praw własności. Po chwili oczekiwania usłyszał odpowiedź: „tak” i od razu zadał w myślach kolejne pytanie, chcąc doprecyzować odpowiedź. Poprosił o potwierdzenie, czy stanie się to jeszcze przed Wielkanocą. Znow usłyszał twierdzącą odpowiedź, więc zapytał szybko o to, czy rząd pozostanie po tym wydarzeniu bez zmian. Usłyszał odpowiedź „nie”, więc spytał od

razu: „Kto w takim razie opuści rząd?” Medium udzielało odpowiedzi wyłącznie odpowiedzi „tak” albo „nie”, więc tym razem nie zareagowało. Stead zorientował się, że powinien przeformułować pytanie, więc zaczął pytać się o poszczególnych członków rządu: Forestera i Chamberlaina. Z początku traktował to jako dobrą zabawę, ale gdy parę tygodni później okazało się, że usłyszane odpowiedzi mają pokrycie w wydarzeniach, do których doszło po seansie, dało mu to wiele do myślenia.

W czasie drugiej części seansu medium drogą psychofonii przekazywało wiadomości od ducha Matki Shipton, znanej XVI-wiecznej brytyjskiej prorokini. Tym razem Stead wypytywał się o możliwość wybuchu wojny we wschodniej Europie i o sytuację w Irlandii. Odpowiedzi zaintrygowały Steada, ale o wiele większe wrażenie, jak się później okazało, wywarły na nim słowa medium, które skierowało do niego na koniec seansu. Gdy Stead zbierał się już do wyjścia, usłyszał od pani Burns następujące zdanie: „Młody człowieku, będziesz św. Pawłem spirytualizmu”.

Praca w „Pall Mall Magazine” uniemożliwiała Steadowi zagłębienie się w temat zjawisk mediumicznych. Polityczne i redakcyjne uwarunkowania utrudniały mu prowadzenie badań i pisanie artykułów o spirytualizmie. Dopiero gdy w 1890 r. zaczął wydawać własny miesięcznik „Review of the Reviews”, w którym komentował artykuły innych dziennikarzy, a także publikował własne felietony, mógł poświęcić więcej czasu na badanie tematyki kontaktów z zaświatami. Namacalnym efektem tych poszukiwań było ukazanie się w 1891 r. książki *Prawdziwe historie o duchach*, a rok później jej kontynuacji zatytułowanej *Więcej historii o duchach*.

Poznanie spirytualizmu tak pochłonęło Steada, że w 1893 r. począł wraz z medium Adą Goodrich Freer, piszącą pod pseudonimem Panna X, wydawać kwartalnik w całości poświęcony tej tematyce. Czasopismo „Borderland” [Zaświat], które w przeciwieństwie do wielu innych, typowo naukowych publikacji, przeznaczone było dla szerokiego grona czytelników, ukazywało się przez cztery lata, lecz niestety jego publikacja musiała zostać zawieszona. Różne nowe obowiązki Steada uniemożliwiły mu dalsze jego prowadzenie.

W „Borderland” ukazywały się między innymi listy od kobiety przedstawiającej się jako Julia Ames, amerykańskiej dziennikarki, którą Stead poznał w 1890 r. na krótko przed jej śmiercią. Wiadomości od Julii zosta-

ły zebrane w książce *Listy z zaświatów*, a wiele zawartych w nich sugestii zostało z czasem zrealizowanych przez Steada. Jednym z pomysłów, który przedstawiła z tamtej strony amerykańska dziennikarka, było założenie specjalnego biura, w którym grupa mediów udzielałaby wsparcia zgłaszającym się tam ludziom i przekazywała im wiadomości ze świata duchów. Plan został zrealizowany w 1909 r. Powstało wówczas *Biuro Julii*, w którym regularnie odbywały się spotkania mediumiczne.

Zorganizowanie tego przedsięwzięcia wydawało się być wspierane przez duchy. Stead nie dysponował wystarczającymi środkami finansowymi, by podołać temu zadaniu. Gdy w czasie jednego z seansów pod koniec 1908 r. przekazał swoje obawy Julii i poinformował ją, że brakuje mu tysiąca funtów na uruchomienie biura, jego rozmówczyni z zaświatów przekazała mu: „Dostaniesz te pieniądze. Trafia do ciebie z Ameryki w taki sposób, że będziesz pewien, iż są przeznaczone na biuro”. Julia poinformowała Steada, że kwestie finansowania przedsięwzięcia miały być wyjaśnione jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia.

Mniej więcej w tym samym czasie Stead opublikował artykuł zatytułowany *Skąd wiem, że zmarli powracają?* Ukazał się on w wielu czasopiśmiech w różnych zakątkach globu, m.in. w Australii, Indiach i Stanach Zjednoczonych i do tego stopnia przypadł do gustu redakcji „New York American”, że ta zaproponowała brytyjskiemu dziennikarzowi stanowisko korespondenta. Oferta opiewająca na 500 funtów rocznie dotarła do Steada w Wigilię. Była to tylko połowa potrzebnej kwoty, więc Stead postanowił zaryzykować i przekazał amerykańskiej redakcji, że przyjmie ją, ale pod warunkiem, że jego honorarium zostanie zwiększone dwukrotnie. Julia w czasie seansu uspokoiła Steada, który zamartwiał się tym, jak zareaguje „New York American” na tę propozycję. Przekazała mu, że zostanie ona przyjęta, co rzeczywiście potwierdziło się w połowie stycznia.

Biuro, które miało stać się prawdziwym mostem między światem żywych i zmarłych, zostało otwarte 24 kwietnia 1909 r. w Mowbray House na Norfolk Street w Londynie. Zgodnie z nazwą biura Stead przekazywał de facto zarządzanie Julii i rozwiniętym duchom, które miały kierować jego organizacją z zaświatów. Bardzo ciekawy był proces przyjmowania wniosków o wsparcie. Decyzja o ich przyjęciu lub odrzuceniu była uza-

leżniania od zgodności odpowiedzi uzyskiwanych jednocześnie przez współpracujące z biurem media.

Przez trzy lata działalności biura udało się pomóc ponad 600 osobom, które przekonały się do możliwości nawiązania kontaktu ze zmarłymi. Wiadomości otrzymywane przez media współpracujące z tą placówką były najlepszym potwierdzeniem na to, że śmierć nie jest końcem życia, a jedynie przejściem do innego świata. Co ciekawe, niepowodzeniem zakończyły się badania nad telepatią prowadzone w *Biurze Julii*. Żadna z prób podejmowanych na przestrzeni kilku lat działalności nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

Stead utrzymywał biuro właściwie z własnych środków. Osoby, które zwracały się do niego z prośbą o pomoc, zgodnie z tym, co przekazała Julia, miały otrzymywać wsparcie za darmo. Stead mógł więc liczyć jedynie na wpływy z drobnych opłat za korzystanie z biblioteki, ale i te pieniądze praktycznie w całości przeznaczano na zakup nowych książek. Ograniczenia finansowe sprawiły, że biuro musiało zostać przeniesione w inne miejsce, a liczba spotkań z mediami zmniejszona.

Podejmowano też próby skompromitowania działalności *Biura Julii*. Dziennikarze jednego z poczytnych tygodników zgłosili się anonimowo z prośbą o kontakt ze zmarłymi. Czułość mediów i opiekujących się ośrodkiem duchów była jednak wystarczająca, by zapobiec tej próbie. Dziennikarzy nie dopuszczono do posiedzenia z medium i skierowano ich po pomoc do innych osób o paranormalnych zdolnościach, które nie współpracowały z biurem. Artykuł, mający ukazać oszustwa *Biura Julii*, został więc napisany w oparciu o seanse prowadzone z mediami, które z ośrodkiem tym nie miały wiele wspólnego. Co ciekawe dziennikarze musieli przyznać, że pomimo wielu nieścisłości, które zaobserwowali, pewnych faktów nie byli w stanie wyjaśnić.

W biurze organizowano regularnie poranne spotkania *Kręgu Julii*, na których otrzymywano liczne wiadomości z zaświatów. Co prawda w wyniku przenosin biura do innego budynku (Cambridge House), spotkania te ograniczono do cotygodniowych posiedzeń, jednak odbywały się one bez przerwy aż do śmierci Steada, a także i po niej.

Dzięki wieloletnim badaniom zjawisk spirytualizmu, kontaktom z zaświatami i pracom *Biura Julii* William Stead nabrał pewności istnienia

życia po śmierci i tego, co czeka go po tamtej stronie. Sam już z zaświatów w książce *Błękitna wyspa* podyktowanej za pośrednictwem medium Pardoëa Woodmana stwierdził, że gdy trafił w zaświaty, zauważył, że wiele z tego, co przeczuwał i czego był pewien na Ziemi, okazało się prawdą. Skłoniło go to do dalszej pracy nad rozwojem mediumizmu, którą prowadził już z tamtej strony. Jej efektem są dwa dzieła: wspomniana wcześniej *Błękitna Wyspa*, gdzie relacjonuje swoje pierwsze chwile w zaświatach i próby nawiązania kontaktu z Ziemią, a także *Komunikacja z tamtym światem* – książka, w której przekazuje wiele cennych wskazówek dotyczących rozwoju zdolności mediumicznych i prowadzenia dialogu z duchami.

Pomimo iż zainteresowanie Steada spirytyzmem doprowadziło do podważenia autorytetu dziennikarza w politycznych kręgach, gdzie często go traktować jako dziwaka i szaleńca, dało mu dość siły do stawienia czoła najtrudniejszemu wyzwaniu w jego życiu: katastrofie Titanica, w wyniku której stracił życie. Osoby, które widziały go po raz ostatni, wspominają, że stał spokojnie na pokładzie tonącego statku. Wydawał się modlić czy też medytować, zachowując pogodę ducha w tym trudnym momencie.

Trzy tygodnie po katastrofie Titanica Stead pojawił się na spotkaniu *Kręgu Julii* już jako duch. W pokoju, w którym co tydzień spotykali się wszyscy razem, znów zabrzmiał głos założyciela *Biura Julii*. Na samym początku spotkania powiedział swoim współpracownikom następujące słowa: „Wszystko, o czym wam mówiłem, jest prawdą...”



Błękitna Wyspa (fragmenty)

William T. Stead (duch)

Znajduję się poza ziemskim życiem już od kilku lat i choć jestem w ciągłym i nieprzerwanym kontakcie z moimi dawnymi miejscami i bliskimi, nigdy od opuszczenia Błękitnej Wyspy nie odczułem pragnienia powrotu na Ziemię, by znów tam zamieszkać.

Było wiele okazji, gdy bardzo chciałem przenieść się tam na kilka godzin. Dzięki mojemu szerszemu spojrzeniu wiedziałem, jak właściwie postąpić w pewnych sytuacjach, w których podejmowano złe decyzje. W tych momentach chciałem bardzo wrócić na Ziemię na godzinę, aby mieć środki do wprowadzenia zmian na lepsze. Poza tego rodzaju chwilową chęcią nigdy nie pragnąłem tam znów zamieszkać. Moje podróże, praca i studia po tej stronie grobu tak żywo mnie interesowały. Od momentu gdy tutaj przybyłem, nabyłem wielką wiedzę i mogłem czasami przekazać jej część ludziom na Ziemi.

Opuściwszy świat – wasz świat – dalej interesowałem się jego rozwojem i pozostawałem bardzo wrażliwy na jego wewnętrzne i zewnętrzne trudności. Patriotyzm wciąż we mnie tkwi, jak i w wielu z nas, i będzie długo dla mnie ważny, ponieważ mam osobiste powiązania z Ziemią. Gdy te osobiste powiązania znikną, moje zainteresowanie stopniowo i naturalnie przenie się w całości na tę stronę i przebywających tu bliskich, a mój dom zapełni inni: tak właśnie ludzkość kroczy dalej, zawsze do przodu, rozwijając się i ewoluując.

Gdy spoglądam wstecz na czas, który spędziłem od chwili przybycia na Błękitną Wyspę, z wielką satysfakcją dostrzegam postęp, jakiego dokonałem. Przybycie w to miejsce stanowiło dla mnie szok. Nie miałem pojęcia, że moja śmierć była tak blisko, gdy zaczął się tamten rok. Z całą pewnością nie chciałem, by tak szybko nastąpiła. Miałem ogromną liczbę ważnych spraw do załatwienia. Niektóre dało się doprowadzić później do końca. Sam też

śledziłem postęp wielu z nich. Niedługo po moim przybyciu przyzwyczailem się do nowych warunków, nowego wyglądu wszystkiego, nowych możliwości przemieszczania się w inne miejsca i komunikacji. Nie rozmawiamy ze sobą tutaj za często, gdyż dysponujemy bardziej wyrazistymi i intymnymi sposobami, by się porozumiewać. Myśli są tutaj przesyłane z jednego umysłu do drugiego i nie potrzeba ich wyrażać głosem, choć jeśli tego chcemy, możemy rozmawiać tak jak na Ziemi.

Istnieje oczywiście wiele dużych różnic między moim światem a waszym, ale dla mnie zawsze jedna z nich uchodzi za najwspanialszą i będącą największym wyrazem miłosierdzia: tutaj umysł nie napotyka już przeszkód wynikających z fizyczności. Na Ziemi macie wiele wewnętrznych pragnień i ambicji różnego rodzaju: chcecie zdobyć pieniądze, osiągnąć sukces w biznesie, czerpać przyjemności, zdobyć władzę, wiedzę itd. Wasze pragnienia tego rodzaju są zawsze ograniczane, tłumione, a często uniemożliwiane z powodu fizycznych uwarunkowań. Tutaj, o ile wewnętrzne pragnienie jest dobre, pole działania jest nieograniczone. Każde pragnienie prawdy, wiedzy, cokolwiek by to nie było, może być usatysfakcjonowane w najbardziej zadziwiający sposób na tym świecie. Niezależnie, czy jest dobre czy złe, przyniesie ze sobą skutki. Jeśli pragnienie jest złe, nasili się i trzeba będzie za nie zapłacić; jeśli jest dobre, również się wzmocni i zapewni siłę i szczęście.

Nie przesadzę, jeśli będę wciąż powtarzał, że to, kim będziecie, zależy od tego, kim jesteście.

Obecnie przygotowujecie na Ziemi wasze ciała do nowych warunków. Budujecie je w teraźniejszym życiu w oparciu o jakość waszych myśli. Ten świat, w którym przebywam już od dłuższego czasu, bardzo przypomina Ziemię. Pełno w nim minerałów, roślin, zwierząt i wszystkich form życia. Każde ze zwierząt, które kochaliście i uczyliście się rozumieć, będzie z wami tutaj. Wszystkie te zwierzęta, które nie należą do nikogo konkretnego, także tutaj się znajdują, ale przebywają w przeznaczonych dla siebie miejscach. Powiecie zatem: „Och, w takim razie to tylko odbicie naszego świata”. Nie do końca. To Ziemia jest odbiciem tego świata. Ziemia nie jest światem, który będzie trwał. To szkoła, w której się uczymy. Nie przebywacie na niej tylko po to, by gromadzić bogactwa i cieszyć się życiem takim, jakie jest. Znajdujecie się tam, aby poznać prawdę o własnym charakterze, nauczyć się nad nim panować i go rozwijać, aby móc w pełni wykorzystać całe piękno Ziemi i wszystkie jej przyjemności. Musicie jednak nad nimi zapanować i nie pozwolić, by to one wami owładnęły.

Jak już powiedziałem, spoglądając wstecz na moje życie w zaświatach, cieszę się zarówno z tego, co dokonało się z mojej osobistej, indywidualnej perspektywy, jak i z tej wyższej. My duchy dokonaliśmy dużego postępu w sposobie komunikacji z Ziemią. Pomogła nam bardzo fizyczna siła duchów młodych mężczyzn i kobiet, którzy na całym świecie przeszli na tę stronę w czasie ostatniej wojny¹. Nie tylko Anglików – wszystkich ludzi. Przynieśli ze sobą wielką fizyczną siłę i determinację. Byliśmy w stanie dzięki temu przełamać wiele barier, które oddzielają oba światy.

Informacje z zaświatów nie zgadzają się z przekonaniami wielu ludzi, ale nie jest to powód, by twierdzić, że nie są prawdziwe... Prawda jest czasami niespodziewana i nie zawsze przyjemna, ale zawsze jest najpotężniejsza i zawsze wyjdzie na wierzch, niezależnie od tego, czy przynosi radość czy ból.

Przenieście się wszyscy, czy to naprawdę, czy w wyobraźni, na skraj wysokiego klifu wychodzącego na morze. Udajcie się tam samotnie, najlepiej jasną, gwiazdzistą i chłodną nocą. Stańcie na szczycie i oddajcie się rozmyślaniom. Spójrzcie na światła stojących w porcie łodzi i skupcie na nich swoje myśli. Potem popatrzcie na gwiazdy. Wiecie, gdzie jesteście i macie pełną świadomość, że migoczą i że poniżej drgają także światła łodzi.

Widzicie gwiazdy Jesteście już niedaleko... I może moglibyście je usłyszeć, gdybyście zawołali, ale łatwiej byłoby poczekać, aż zapadnie ciemność, gdyż wówczas to one będą mogły was zobaczyć bez żadnego wysiłku z waszej strony. Tak właśnie jest z nami: duchami. Pamiętamy o tych, którzy pozostali. Niektórzy godzą się, aby na nich czekać, inni walczą i trudzą się, by można było ich usłyszeć. Jesteśmy niedaleko Ziemi, a między naszą krainą ducha a Wielkim Wszechświatem jest taka odległość, jak między wami stojącymi na klifie a najdalszą z gwiazd.

Przebyliśmy tylko kawałek naszej podróży. Nie zapomnieliśmy niczego. A miłość trwa dalej...

¹ Autor ma na myśli I Wojnę Światową (1914-1918) – przyp.red.



Chleba naszego (fragmenty)

Chico Xavier i Emmanuel

38. Twój własny rachunek

„I rzekł: O gdybyś i ty poznało w ten dzień to, co służy pokojowi!” (Ewangelia wg św. Łukasza 19:42)

Była to wypowiedź Jezusa wobec Jeruzalem. Stosuje się ona bardziej do ludzkiego serca, „żyjącej świątyni Ojca”, niż do materialnego miasta, przeznaczonego na ruinę na skutek szeregu różnych doświadczeń.

Wyobraźmy sobie, jaki byłby świat, gdyby każdy człowiek wiedział co jest wymagane, aby osiągnąć wewnętrzny spokój.

Z uwagi na zasadniczy brak zainteresowania tymi wymaganiami życia, człowiek wikła się w bolesne trudności i zaciąga wielkie długi.

Zwróćmy uwagę na to stwierdzenie Mistrza: „O gdybyś i ty poznało w ten dzień...”

Te słowa zapraszają nas do pomyślenia o możliwości służenia innym, którą daje nam obecna chwila, i zastanowienia się nad straconymi wiekami. Zmuszają do refleksji nad okazją do pracy, która zawsze leży w zasięgu skorych do działania duchów.

Wcielony człowiek dysponuje wspaniałym czasem, który został mu na pewien okres przeznaczony, który Najwyższy przekazał mu, by ten mógł się rozwijać.

Ważne jest, aby każdy z nas rozpoznawał, co jest konieczne dla własnego spokoju. Każda osoba powinna wykazywać dostojną postawę nakierowaną na rozumienie własnych obowiązków, a widma niepokoju zostaną odpędzone. Niech każdy zatroszczy się wokół własnych spraw,

a dwie trzecie problemów społecznych na świecie zostanie w sposób naturalny rozwiązane.

Zwracaj uwagę na najmniejsze potrzeby twojego najbliższego otoczenia i odpowiedz na nie dla swojego własnego dobra.

Nie będziesz wędrować między gwiazdami, zanim nie przejdiesz skromnej ścieżki, która na ciebie czeka.

39. Zaproszenie do prawości

„Lecz gdy będziesz zaproszony, idź” (Ewangelia wg św. Łukasza)

We wszystkich epokach prawość stanowiła boską fontannę – źródło zapewniające nieśmiertelne wartości.

Osoba, która zastanawia się nad sobą, musi zauważyć, że okres dzieciństwa jest wezwaniem do szlachetnej wiosny.

Święte zaproszenie jest powtarzane rok w rok. Nadchodzi drogą miłości rodzicielskiej, uczonych mentorów, zdrowych lektur, uczuć religijnych, naszych wspólnych przyjaciół.

Mimo to niewiele inteligencji wypełnia swoją młodość uwagą skupioną na wzniosłych zajęciach. Niemal wszyscy ludzie słuchają wezwań płynących od niższej natury, zapominając przy tym o swoich istotnych zobowiązaniach.

A te zobowiązania mimo wszystko nadal są w mocy.

Tu znajdziemy ciekawą książkę odkrywającą prawdę, ciszę; tam wspa-
niałomyślnego przyjaciela, który domaga się oświeconego życia.

Jednakże sprzeciw w człowieku, nawet dojrzałym, zwykle uśmiecha się nieświadomie, ciągle podążając w kompulsywnym marszu w kierunku naturalnych rozczarowań, które narzucają już bardziej zrównoważone myśli.

W Ewangelii Jezusa, zaproszenie do prawości jest czyste w wiecznej prawdzie. Akceptując je, będziemy zdolni do podążania na spotkanie z naszym Ojcem bez chwili zwątpienia.

Jeśli Chrześcijańska muzyka już brzmi w Twoich uszach, zaakceptuj jej prawdę bez wahania.

Nie czekaj na ciernie konieczności.

W czasie sztormu trudniej będzie dostrzec port.

Większość naszych braci na Ziemi podąża w stronę Boga pod presją wielkiego bólu, dlatego nie czekaj na cieniste powrozy, kiedy możesz spokojnie podążać czystą drogą miłości.

40. Przygotowania...

„Dam prawo moje w ich myśli, a na sercach ich wypiszę je, i będę im Bogiem, a oni będą Mi ludem”. (List do Hebrajczyków, 8:10)

Będziemy tłumaczyć Ewangelię

We wszystkich językach

Wszystkim kulturom

Wychwalając jej dostojństwo

Podkreślając jej szlachetność

Szerząc jej poezję

Objaśniając jej prawdę

Interpretując jej lekcje

Przeobrażając nasze rozumowanie

Doskonaląc nasze serca

Reformując naszą inteligencję

Odnawiając prawa

Ulepszając obyczaje

I oświecając ścieżki.

Lecz gdy nadejdzie czas

Zajdzie potrzeba, by Dobra Nowina wywarła wpływ na nas samych,

W bliskości naszych umysłów,

W najgłębszych zakamarkach serca,

Poprzez słowa i działania,

Zasady i ideały,

Aspiracje i nadzieje,

Gesty i myśli.

Ponieważ, zgodnie z prawdą,

Jeśli Niebo pozwala nam szerzyć światu Boże Przekazy Ewangelii,

Pewnego dnia będziemy musieli przemienić siebie

Stając się żyjącym przykładem Dobrej Nowiny na Ziemi.



O żalu za umarłymi

Julia Ames i William T. Stead

*fragment dzieła pt. Listy z zaświatów autorstwa ducha Julii Ames
i Williama T. Steada*

Następujący list był napisany do miłego przyjaciela, który oddawał się nadmiernej rozpacz po śmierci krewnej. Opuściłem ustępy dotyczące osobie danego przyjaciela, tak że cały list stosować się teraz może do każdego, kto oplakuje swych zmarłych i nie ma żadnej nadziei.

Byłam często przy tobie w czasie ostatniej choroby twojej ukochanej zmarłej i tak bardzo pragnęłam ci pomóc; nie udało mi się jednak sprawić, abyś mógł mnie słyszeć i widzieć. Byłam przy tobie i w dniu, kiedy ona przeszła na naszą stronę. Wszyscy byliśmy dookoła niej i oczekiwaliśmy na jej przyjście, a ja czułam, jak wielką pociechą byłoby dla ciebie, gdybym mogła ci donieść, ile szczęścia doznaje ona przy matce, mężu i innych bliskich. Ale niestety! Niestety! Byliście wszyscy tak niezręczni, że nie mogliśmy porozumieć się z wami.

Och, mój kochany, dlaczego rozpaczasz, jak ten, kto żadnej nadziei nie ma? Czyż to jest częstą paplaniną, że Chrystus wywiódł na światło życie i nieśmiertelność? Czym się to dzieje, że mając świadomość dalszego istnienia twojej ukochanej, tak niepokieszonym się czujesz i tak opuszczonym, jak gdyby nie było żadnego drugiego świata, gdzie Chrystus zatriumfował nad grobem i śmiercią. Dlaczego martwisz się, jak ci, którzy żadnej nie widzą nadziei? Czy nie wiesz, że jesteś jak owo na pagórku zbudowane miasto, które nie da się ukryć? Iluż tysiącom, nie, milionom biednych dusz zasmucasz życie swymi łzami, kiedy mógłbyś je rozśłonecznić jednym uśmiechem, gdybyś w pełni i całkowicie wierzył w miłość Boską.

Nie chcę utrzymywać, żeś popełnił wielki grzech z tego powodu, chcę tylko zaznaczyć, że skutek przygnębienia czy nadmiaru bólu nie wyzyskałeś dostatecznie danej okoliczności. Drogi przyjacielu, nie myśl, proszę, że ośmieliłabym się mówić takie rzeczy temu, kto nauczył mnie najważniejszego, co tutaj mi potrzebne i któremu tyle zawdzięczam; ale oto znalazłam się po tej stronie, gdzie możemy widzieć to właśnie, czego wy nie dostrzegacie. I wciąż jeszcze masz nadzieję, że będziesz zdolny dać całemu światu przykład nie tego, co zwą niesłusznie poddaniem, a co w wielu wypadkach jest określeniem dla rozpaczyny pełnego przymusu, lecz tej niewypowiedzianej radości i uszczęśliwienia, będącego naturalnym prawem tych, którzy żyją w miłości Boga. Nie jest to wyłącznie moim przekonaniem, ale i wszystkich nas po tej stronie. Dlaczego jesteś tak wywyższony, dlaczego znalazłeś się na tak wysokim stanowisku, gdzie oczy wielu są na ciebie zwrócone? Znam cię. Nie dla własnej twojej sprawy, lecz aby życie twoje było dla wszystkich, którzy patrzą na ciebie, odbiciem Jego miłości, podobnie jak zwierciadło odbija padające nań promienie słoneczne.

Drogi przyjacielu, nie powinieneś płakać, bo ukochana przez ciebie istota jest u nas, lecz dlatego, że tak mało skorzystałeś z cudownej sposobności, by dowieść wszystkim, że tamten świat to świat Boski i że pozornie straceni dla innych nie są straconymi dla ciebie, który wierzysz. Na nic nie przyda się mówić, że się wierzy, skoro się nie wierzy. I cóż z tego, choć powiesz, że ci jest ciepło, skoro drżysz z zimna? Muszę cię prosić, abyś nie gniewał się na mnie i nie obawiał, że powiem jakieś słowo, które cię dotknie; ale my tutaj widzimy tak jasno, och, tak jasno, jaka przyjazna sposobność się nadarzała, by dowieść wszystkim rzeczywistości zwycięstwa Chrystusowego nad śmiercią.

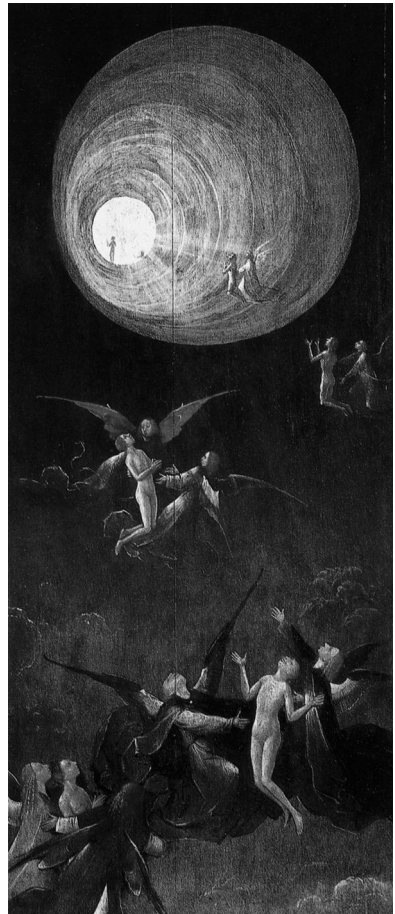
Cóż mogę powiedzieć, aby cię przekonać? Mówisz, że łatwo mi jest strofować cię, bo nie możesz mnie widzieć ani słyszeć. Wyciągasz ręce i szukasz w ciemnościach ukochanej, która odeszła, a która stoi tuż obok ciebie, lecz ty nie czujesz nic i jesteś niepokieszony. Serce twoje szemrze i nie wierzysz. I w tym stopniu twej niewiary zatracasz możliwość bycia drabiną, po której zstępuje miłość Boska do ludzi.

Cała tajemnica siły, by być pomocnym ludziom, polega u ciebie na tym, żebyś pozostawał biernym narzędziem w Boskim ręku, byś uczył,

dowodził i wskazywał to, co tu mówią. Kiedy bierze nad tobą górę twoje własne *ja*, lub niewiara, wynika stąd słabość i utrata siły. Pod wyrazem „*ja*” rozumiem nie to, co ludzie mieniają samolubstwem, lecz ten mrok rzeczy materialnych, które odgradzają nas od Boga i od prawdy. Nie przydaje się na nic mówić, że wierzysz, skoro czujesz się smutny. **Nikt prawdziwie wierzący smucić się nie może. Miara zmartwienia twego jest miarą twej niewiary.** My, żyjący tu w atmosferze miłości Boskiej, smucimy się często własną niedoskonałością. Jeśli wszakże nie my jesteśmy przyczyną zmartwienia, nie nasze samolubstwo i grzechy sprawiły to, co się stało, lecz Jego mądrość i miłość, wówczas smutek nasz jest skalą na duchowym termometrze naszej niewiary.

Wybacz mi, z przykrością mówię ci te rzeczy, tobie, który mistrzem moim byłeś i któremu zawdzięczam wszystko, czym tutaj jestem, mój najdroższy, kochany przyjacielu. Nie jest mi przyjemnie mówić ci to wszystko; jest to dla mnie twarde i ciężkie zadanie. Znam wszakże twoją wiarę, znam miłość twoją i polegam mocno na niej, wiedząc, że rozpromienieje jak miłość boska przed wzrokiem stroskanego świata.

Jakże okropny widok przedstawia rodzaj ludzki. Wszystko, co kiedykolwiek mówiłeś, pisałeś lub marzyłeś, nie wyrazi nawet w przybliżeniu tego uczucia okropności, tej sumy całej nędzy i grozy, jakie panują na świecie wskutek istnienia śmierci. Z grzechu powstała śmierć. Chrystus ukazał się, aby zwyciężyć oboje. Dopóty jednak zwycięstwo to nie będzie całkowite, dopóki ci, którzy imię jego noszą, nie będą posiadali całkowitego przeświadczenia o nieśmiertelności swoich ukochanych zmarłych.



Chrystus rozdarł gęstą zasłonę, rozdzielając oba światy. Chrystus otworzył duchowy świat przed mieszkańcami Ziemi. Ale po jego odejściu zasłona ponownie opadła i śmierć dziś jest znowu takim samym rozdziałem, jakim była za czasów pogaństwa. To musi odmienić się, a ty jesteś powołany, by wziąć na siebie część dzieła mającego dokonać tej odmiany. To jest wyjątkowe, wysokie stanowisko, chwalebna sposobność. Powróć do siebie, ale nie jako ten, który obżałowuje zmarłych i ma ich za straconych, lecz jako ten, który raduje się, że utraconych odnalazł. A kiedy ufnym będziesz, wtedy radość z miłości Pana, napędzająca całe twoje serce, stanie się dla ciebie tym, czym jest jutrzienka dla przyćmionych smutkiem oczu ludzkości.

Daruj mi tedy, drogi i czcigodny przyjacielu! Piszę to wszystko nie tylko od siebie, ale w imieniu tych wielu po naszej stronie, którzy pokładają swą nadzieję w tobie.

Żegnaj!

Tvoja kochająca przyjaciółka Julia



Uwierz w ducha, bo nim jesteś

Marilyn Rossner

W świecie Marilyn Rossner nie ma śmierci, samotności i wszystko zdarza się celowo. Psychoterapeutka i medium z Kanady uważa, że to samo można powiedzieć o każdym z nas: żyjemy w najlepszym miejscu na Ziemi, które sami dla siebie wybraliśmy, w doborowym towarzystwie bezcielesnych istot.

Marilyn Rossner: Chciałabym, żeby ludzie stali się świadomi jednego: to, czego najbardziej się boją, czyli śmierć – nie istnieje. To tylko zmiana w naszym życiu.

La Vanguardia: Przekonanie o tym to raczej kwestia wiary.

Nie dla mnie. Żyjemy w wielowymiarowym świecie, istnieje wiele równoległych poziomów egzystencji, a ja potrafię je dostrzec.

Chodzi pani o duchy?

Tak. Jesteśmy ucieleśnionymi duchami. Kiedy umieramy, tracimy ciało i wracamy do tego czym jesteśmy naprawdę: stajemy się subtelniejszą formą energii.

Duchy są teraz tu, z nami?

Tak, zawsze są obecne. Kiedy zbliży się pani do okna, zawsze ktoś tam na panią czeka. To nie tak, że je wzywamy, wywołujemy, one już tu są. (...) Pochodzę z żydowskiej rodziny, która prawie w całości została zgładzona przez nazistów. Moi rodzice, którzy byli ubogimi analfabetami, nie opowiadali mi o naszej tragicznej przeszłości, jednak pewnego dnia, gdy miałam sześć lat, podczas posiłku zaczęłam opisywać wszyst-

kich zmarłych krewnych, którzy tam z nami byli i których tylko ja mogłam zobaczyć.

Jak zareagowali pani rodzice?

Zaprowadzili mnie do rabina. Powiedział im: „Strzeżcie tego dziecka, ma niezwykle dar”. W wieku 14 lat miałam inną wizję: zobaczyłam śmierć jednej z koleżanek, potrafiłam nawet wskazać konkretną datę. Powiedziałam o tym wielu osobom. Kiedy moja przepowiednia się sprawdziła, inni zaczęli się mnie bać. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie wszyscy widzą duchy.

Tylko wybrani mogą je zobaczyć?

Wszyscy możemy je dostrzec, zwłaszcza w dzieciństwie, kiedy jeszcze nie kierujemy się przesądami i gdy strach przed tym, co powiedzą inni, nie blokuje komunikacji.

Proszę mi o nich opowiedzieć.

Przychodzimy na świat z przewodnikiem duchowym, który towarzyszy nam przez całe życie, pomaga rozumieć świat, rozwijać się, a kiedy umieramy, wraz z nami opuszcza ciało i umożliwia przejście do świata duchowego. Jednak zanim porzucimy doczesność, pozostajemy przez pewien czas na Ziemi, bo chcemy uświadomić najbliższym, że wciąż żyjemy. I zazwyczaj wszyscy jesteśmy obecni na własnym pogrzebie. To wtedy co wrażliwsi ludzie doświadczają czegoś niezwykłego, a ich wrażenie związane jest z tym, kto odszedł: słyszą jakąś specjalną piosenkę, głos, kroki, hałasy, śnią szczególnie sen albo przychodzi im do głowy jakaś ważna myśl...

Każdy z nas mógłby coś takiego opowiedzieć.

Bo każdy czegoś takiego doświadczył, a jednak nie lubimy się do tego przyznawać. Powinniśmy jednak przyjąć do wiadomości, że wszyscy jesteśmy duchami i kiedy umrzemy, dalej nimi będziemy. Tymczasem naprawdę warto nauczyć się doświadczania świata duchowego, poczuć jego wpływ. Jak pani myśli, skąd się biorą intuicje albo rewolucyjne pomysły?

Z osobistego doświadczenia albo z doświadczenia innych ludzi.

Jeśli zaakceptujemy fakt, że śmierć jest jedynie zmianą stanu, będziemy znacznie szczęśliwsi. To właśnie próbują nam przekazać nasi bliscy zmarli, zanim udadzą się do miejsca odpoczynku. Pokój nastanie, kiedy ludzie dostrzegą ten duchowy świat i go poczną.

Wie pani, jak wygląda to miejsce odpoczynku?

W rzeczywistości jest to miejsce aktywności, w którym dalej będziemy się uczyć i rozwijać, a jeśli to będzie konieczne, wrócimy na Ziemię jako osoby cielesne, gdyż wszyscy przychodzimy tu z jakąś misją do spełnienia. Czasem, by to zrobić, musimy poświęcić temu zadaniu więcej niż jedno życie.

Gdybyśmy o tym pamiętali, byłoby nam znacznie łatwiej.

Rośnie liczba tych, którzy o tym pamiętają. Proszę pomyśleć o zdolnościach, jakie pani miała będąc dzieckiem, o swoich talentach, to pomoże pani uświadomić sobie, jakie jest pani zadanie tu, na Ziemi. Dziś jedną z najpopularniejszych misji jest niesienie pokoju.

Czy czasem duchy kłamią?

Tak, to zagubione dusze. Lgną do osób osłabionych przez różne uzależnienia – w końcu podobieństwa się przyciągają.

Powszechnie znane prawo i bardzo ziemskie.

Ludzie, którzy dziś zabijają i niszczą, kiedyś będą musieli się z tym zmierzyć. Pozostaną blisko tego świata, by pomagać i naprawiać swój błąd.

Mówi się, że sami wybieramy, gdzie się urodzimy.

Zgadza się. Wybieramy sobie rodziców i społeczność, w której się rodzimy. Każdy z nas ma wszystko, czego potrzebuje, by przejść przez życie, a przewodnicy duchowi tylko nam pomagają – jedni zrozumieć otaczający nas świat, inni – uzdrowić się.

Dlaczego więc czujemy się tak bardzo samotni?

Nigdy nie jesteśmy sami, nikt nie rodzi się ani nie umiera samotnie.

Dlaczego nie czujemy wyraźniej obecności duchów?

Mówimy o subtelnych wibracjach, na które nie jesteśmy wyczuleni. Z drugiej strony przybywa ludzi, którzy zbliżają się do tej prawdy, wśród nich są także naukowcy. (...)

Co to znaczy: dobrze umrzeć?

To samo co dobrze żyć: nie bać się śmierci. Nie trzymać się kurczowo życia. Chwile każdego z nas na tej Ziemi są od początku policzone, ale trzeba zrozumieć, że życie trwa wiecznie, a kiedy umrzemy, znów spotkamy się z najbliższymi.

To, co pani mówi, wydaje się bardzo naiwne.

Ale jest prawdziwe. Niestety nie przyjmujemy tego do wiadomości, co sprawia, że bardzo źle żyjemy. Pracowałam razem z Matką Teresą, zyskałam uznanie Jana Pawła II, byłam przyjęta przez Dalajlamę. Wszyscy wyrażali się z uznaniem o mojej pracy z upośledzonymi dziećmi, jednak wiedzieli też, że jestem medium i zawsze brali to na poważnie.

Zarabia tym pani na życie.

Moje pieniądze przekazuję pięciu organizacjom zajmującym się dziećmi z upośledzeniami fizycznymi i psychicznymi.

Źródło: La Vanguardia, przekład Piotr Struczyk